№ 19. Warszawa, dnia 29 Kwietnia (11 Maja) 1878 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

POGADANKA.

Czy zastanawiał się kto kiedy nad tem, co może mieć wspólnego ze sobą, system Kopernika, teorya Newtona, badania Humboldta lub najświeższe odkrycia w chemii i fizyce, z czczą gadatliwością półmędrków, którzy huczą jak każda rzecz pusta? Z pewnością, że nikt w sprawach tych łączności nie odnajdzie, a jednak ci olbrzymi niedouctwa, utrzymują, że nieprzyzwoitość ich, pomiatania wszystkiem co nie jest latoroślą obecności, wypływa jedynie z uszanowania dla nauki! Jeżeli w zdaniu powyższem nie ma logiki, niech to nikogo nie dziwi. Logika i półmędrek to dwa bieguny wiecznie się odpychające. Z okazyi minionej uroczystości Zmartwychwstania Pańskiego, nasłuchaliśmy się dość, aż nadto nawet o „przestarzałych pojęciach, o postępie, który je podrzugoce."

Ale *spes in Deo*, bo wszakże żyje jeszcze niejedna Zosia o jakiej śpiewał nam Mickiewicz a powtarzał na prelekcyi profesor hr. Tarnowski. A czy też wszędzie ta, jak ją nazywamy słabsza połowa rodu ludzkiego, staje się piastunem odrodzenia, gdy siła zaczyna przeceniać siebie i tracić znamiona bozkości? Wszędzie, możemy rzec śmiało, ponieważ tylko w rodzinie odrodzenie a rodzina możebna tylko cnotą wysoko trzymaną przez kobietę.

Skończył tedy hr. Tarnowski piękne trzy odczyty o panu *Tadeuszu*, stawiąc autora na najwyższym szczeblu rozkwitu poezyi polskiej. Dochód ze wszystkich nich na Osady rolne był znaczny. Na czysto uzbierano rs. 5,964 kop. 85. Z sumy tej jednak stosownie do życzenia hr. Tarnowskiego, rs. 600 oddano na rzecz biednych studentów uniwersytetu. Pozostało więc na zakłady osad rolnych 5,364 rs. 85 kop. Rezultat świetny świadczy o gorącym udziale publiczności i zapobiegliwości ze strony zarządu, który umiał postarać się o obudzenie interesu ogólnego uprosiwszy do wykładów ludzi znanych na polu naukowem lub literackiem.

Ledwo skończyły się odczyty, już i wiosna rychła zaczęła przypominać, że czas porzucić mury i spojrzeć na corocznie powracającą młodość przyrody. Tegoroczna uroczystość Zmartwychwstania przypadła jednocześnie ze zmartwychwstaniem całej przyrody a pogoda w pierwsze i drugie święto, zgromadzała liczne tłumy na zabawę ludową na placu Ujazdowskim! Ruch był wielki, życie wrzało w każdym punkcie, biegały karuzele, wznosiły się młyny dyabelskie, w drugie święto nawet tańczono na podniesieniu umyślnie urządzonem, nie brakowało śmiechu, żartów i wesołości, tylko nie było żadnego wybryku godnego skarcenia lub wdania się policyi. Kuryer jednak Codzienny zabawkę tę ludu tak miłą i niewinną nazwał barbarzyństwem, z którem należałoby się raz już rozbratać. Dla czego?

Nie wyjaśnił swego zarzutu. Kto wie czy to życzenie nie byłoby usprawiedliwione, gdyby zamiast ludu, zgromadzało się na placu trzydzieści tysięcy.... tegoczesnych postępowców piórem wojujących, a na słupie zawieszono kilkaset rubli do nagrody. Oj! działyby się tam pocieszne rzeczy!

Jak jaskółki z wiosną, które już dawno przybyły i szukają w mieście nawet pod gankami i wystawkami miejsc na zbudowanie gniazdek, tak ciągną do Warszawy i dyrektorowie artystyczni teatrzyków mniejszych i w ogródkach Alhambry, Eldorada, Belle-vue i t. d. szukają równie przystani. Zapowiedzi i obiecanek mamy już mnóstwo. Gdyby tak z ilością sił artystycznych szło w parze i pielęgnowanie tylko piękna, to nasz umysł estetyczny powinienby zaiste urość do olbrzymich rozmiarów. Tego lata lubownicy ogródków oglądać może będą i znakomitsze od zwykłych prowincyonalnych sił dramatycznych, gdyż pan Terenkoczy, niegdyś dyrektor wspólny teatru poznańskiego a obecnie członek teatru lwowskiego, obiecuje z towarzystwem przeważnie z sił lwowskich złożonem, dać kilkanaście przedstawień w Eldorado przy ulicy Długiej.

Sprawa dobroczynności publicznej i artyzm podają sobie także ręce, ażeby z jednej strony otrzeć łzę niedoli a z drugiej wycisnąć może niejedną łzę rozkoszy. Towarzystwo Dobroczynności urządziło już w sali Ratuszowej wystawę obrazów Matejki. W skład jej weszły dzieła następne mistrza: 1. Kazanie Skargi. 2. Jan Kazimierz na Bielanach. 3. Lirnik Ukraiński. 4. Otrucie królowej Bony. 5. Bolesław Śmiały. 6. Wierzynek. 7. Czytanie wyroku śmierci. 8. Bolesław Rogatko. 9. Zygmunt August. 10. Książę Srebrny. Wystawa potrwa prawdopodobnie z miesiąc.

Jedna z pierwszorzędnych instytucyi Warszawy i kraju całego, Bank Polski, obchodziła w dniu 6 maja jubileusz 50-letni swojego założenia i półwiekowej działalności. Wiadomo, że zakład ten, oprócz czynności ściśle finansowych, przyczyniał się w ogóle do dobrobytu w kraju przez podtrzymanie kredytu w handlu i przemyśle. W tej ostatniej gałęzi zresztą i sam był inicyatorem podejmując znaczniejsze przedsiębiorstwa na własny rachunek. Godzi się przypomnieć, że twórcą Banku był głównie ówczesny minister skarbu Królestwa Polskiego Książę Lubecki. On wypracował plan, że zdrowy i żywotny, dowodzi jak już wzmiankowano, pięćdziesięcioletni żywot i rozwój Banku, pomimo okoliczności nie zawsze przyjaznych a często bardzo nawet niepomyślnych. Ciężką taką próbę przechodził Bank w roku 1831, kiedy wszelkie jego fundusze musiały być wywiezione do twierdzy Modlina a ztamtąd aż do Torunia, by po burzach wrócić znowu na miejsce swego przeznaczenia. Wykonawcą myśli księcia, duszą wszystkiego w wykonaniu praktycznem, był znowuż hr. Jelski, referendarz stanu. Nie było podówczas ludzi wy-

kształconych specyalnie w zawodzie bankowym, a jednak założyciele przy dobrej chęci i woli zdołali i temu zaradzić. Z żyjących obecnie, którzy doczekali 50-lecia znajduje się osób niewiele. Wymieniamy tylko hr. Łubieńskiego, który był jednym z dyrektorów w pierwszej chwili. Trudno wdawać się nam w szczegóły, ale zaznaczamy, że czynności półwiekowe instytucyi, przyniosły znaczną sumę zysku czystego, okrągło przeszło 26 milionów rubli srebrem.

W ostatnich tygodniach przybyło znowu kilka świeżych projektów celem uczczenia jubileuszu J. I. Kraszewskiego. Na uwagę szczególniej zasługuje projekt ustanowienia katedry literatury polskiej na uniwersytecie warszawskim ze składek dobrowolnych. To pozwalałoby najgodniej uczcić pamięć tego, który tak dzielnie i niezmordowanie pracował i pracuje na niwie literackiej. Z innych stron słyszymy także o staraniu się o fundusze, które wszystkie otrzymałyby nazwę po większej części stypendyów Kraszewskiego.

Komitet Przemysłu i Rolnictwa zapowiada tego roku w jesieni wystawę w Muzeum, która się odbędzie w Październiku, a obejmie wyroby gliniane, szklane, drewniane, oraz przedmioty zwykłego garncarstwa różnych okolic kraju, wyroby porcelany i fajansu i nakoniec materyały surowe garncarstwa, hut i leśnictwa. Ponieważ Komitetowi idzie o danie obrazu głównie przemysłu krajowego i domowego, pierwszym więc obowiązkiem inteligencyi wiejskiej będzie zachęcenie włościan trudniących się jaką z wymienionych gałęzi, do przyjęcia udziału w wystawie.

Pismo tutejsze Nowiny wychodzące dotychczas w dnie świąteczne i galowe, zapowiedziało z dniem 1 czerwca ukazywanie się codzienne. O ile chęć wydawnictwa codziennego, obok tylu już istniejących, odpowiada istotnej potrzebie, czas to pokaże.

W Galicyi mnożą się także wydawnictwa peryodyczne. Czytamy w korespondencyi ze Lwowa, że w tych czasach zacznie tam wychodzić nowy dziennik, pismo codzienne pod tytułem: Dziennik dla wszystkich, a prócz tego jeden tygodnik humorystyczny. Natomiast księgarnie lwowskie uskarżają się na zupełną obojętność publiczności dla wydawnictw poważniejszych. Zaległości u stron rozmaitych tak się pomnożyły, że księgarze tamtejsi musieli wydać okólnik otwarty wspólny, błagający o spłaty rat zaległych na książki.

W Krakowie w katedrze na Wawelu stanie wkrótce pomnik dla ś. p. Piusa IX. Artyści rzeźbiarze p. Gadomski z Krakowa i Sosnowski z Rzymu ofiarowali pracę bezpłatną. Pomnik stanąć ma w kaplicy biskupa Tomickiego.

PIEŚNIARZ.

Czemu milczysz pieśniarzu i patrzysz tak smutnie
Na ludzkość, w której kole spotężniałeś bratniem?
Czemuś z rąk twych wypuścił roztrzaskaną lutnię
I zgasił ogień Znicza w dźwięku słów ostatnim?
Wszakże ongi przed laty gdy śpiewali bardy,
Świat był starych zwyczajów rutyną wiekową;
Tu mąż ufny w zaszczyty podnosił wzrok hardy,
Tu olbrzym roje karłów przerastał swą głową.
Owdzie znowu ród kmiecy przykuty do gleby,
Walczył przez długie wieki z bezowocnym trudem,
W źródle łez czerpał nędzarz życiowe potrzeby,
A jarzmo niewolnicze ciążyło nad ludem.
Teraz spojrz, podnieś czoło i zanuć swe pieśni,
Nastrój pomiętą lutnię: blask rozjaśnił cienie,
Trup przeszłości się rozpadł wśród mogilnej pleśni,
A z trupa nowych ludzi rośnie pokolenie.
Potęgą ich wytrwałość, nauka ich hasłem,
Zbadanie praw rozkłada dróg żywota celem,
Na wulkanie fantazyi stu wieków zagasłym,
Piszą prawdy wszechbytu doświadczeń skalpelem;
Więc ocknij się pieśniarzu, powstań stary bardzie,
Sław światło, sław epokę wyzwolenia ludzi,
W której wszystko co duchem, zamiera w pogardzie,
W której wszystko co ciałem, do życia się budzi!

A wieszcz rzeknie: na owej niezmiernej przestrzeni,
Kędym nucił swe pieśni, świecił wciąż kaganiec
Wiary — jam nie znał nocy nieprzejrzanych cieni,
Jam duchem umiał sięgnąć po za zmysłów kraniec;
Kiedy chłody zwątpienia zawładły mem sercem,
Czułem gorące tchnienie nadziei radosnej,
Która zbarwi świat martwy zielonym kobiercem,
I zmieni mroźny całun w wdzięczny powab wiosny.
Kiedy szał namiętny płomienną spiekotą,
Strawił wśród zaschłych powiek rozczulenia łezki,
Jam chwytał w drżące dłonie lutnię moją złotą,
I śpiewał skrzepień rosą miłości niebieskiej.
Dzisiaj ten pryzmat łaski ów trójlistny wieniec,
Krwią męczeńską uświęcon, zwiądł, zesechł i zmarniał;
W starca zmienił się pełen przyszłości młodzieniec,
W trupa mąż co świat cały swą myślą ogarniał,
Zdarł człowiek z ramion swoich sukienkę anielską,
Dar matki przy kolebce. Jałowe obszary
Porosły w upodlenia i cynizmu zielsko,
W piersi wdarł się ohydny pierwiastek niewiary,
Popiołów własnych ojców nie szanują syny,
Przykładu cnót praojców nie cenią rówieśni,
I miasto w szlak niebieski wpisać święte czyny,
Lgną zmysłami zgrążeni w ziemskich kałów cieśni...
Jakież więc z lutni mojej wydobędę tony?
Mamże zostawszy nizkich dążności czcicielem,
Sławić chciwca co złotą mamoną olśniony,
Zwierzęcą walkę o byt nazwał życia celem?
Mamże zgłuszywszy w duszy cnót rodzinnych echo,
Stać się chwalcą rażonych zaślepieniem tłumów,
Które zwą bezcześć hartem, rozpustę uciechą,
A szperanie w materyi szczytem wszech rozumów?
Mamże wreszcie natchnienia opromienić słowy
Karłów, którzy się lęgną jako gady w cieniu,
A nie mogąc zrozumieć potęgi Jehowy,
Wielbią Stwórcę wszech rzeczy w nikczemnem stworzeniu,
Nie, stokroć raczej wolę strzaskać moją lutnię,
Porwać w drobne cząsteczki złociste jej struny,
I spojrzawszy po świecie rzewnie, łzawo, smutnie,
Zmilknąć jak milknie słowik gdy świat zwarzą szrony.

Ludwik Niemojowski.

Obrazki Warszawskie

ułożone w trzech tomach

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej.

(Dalszy ciąg).

Stanisław machnął ręką jakby chciał powiedzieć: na rozprawy z głupcami szkoda czasu i atłasu! Wojciech pykał z przygaszonej fajki, a młodzi orylе przypatrywali się z zajęciem młodzieńcowi, co im wygłaszał teorye tak dla nich dotąd nieznane i widocznie natrząsał się z tego co przywykli czcić i szanować. Nie rozumieli ich wprawdzie należycie, bo Stanisław nie umiał na szczęście zniżyć swojego wykładu do poziomu ich pojęć, ale zostały w nich jakieś małe cząsteczki, oderwane zdania wiele znaczące, a szczególniej że pieniądz stanowi potęgę niczem nie zwalczoną.

Apostołów podobnie bezecnych zasad wszędzie napotkać można; wciskają się do każdego kąta, wyszukują starannie słuchaczy i przyczepiając do dowodzeń połapane bez ładu i składu myśli inne zupełnie mające znaczenie w związku z całością, cieszą się podziwem jaki wywołują. Są to pierwiastki rozstrajające cały porządek społeczny; nie ma świętości na którąby się nie rzucili, prawdy przyjętej którejby nie sponiewierali. Gdyby burząc stawiali coś nowego na równie silnej podstawie jak to wieki wyrobiły, byliby w części usprawiedliwieni. Postęp wymaga pewnych ofiar, obecność często krwawą ręką siew uskuteczni dla przyszłości darząc ją plonem wielkiej doniosłości. Tu inny stan rzeczy. Burzyć wszystko bez litości, ośmieszać, wyszydzać, poniewierać, oto jedyne zadanie z zawziętością prawdziwie wilczą spełniane. Jest coś w tem zwierzęcego i rozpaczliwego zarazem, co oburza i zadziwia, mnoży samobójców i desperatów, a przede wszystkiem podnosi pragnienie niczem niezaspokojone użycia i nadużycia, byle jak najprędzej, dziś jeszcze, bo każde czekanie nudne i niepewne. Powiadają, że to przedświt nowej idei jaka ma zapanować nad całą ludzkością: czasy przedchrześciańskie w podobnych rozwijały się warunkach a wytrysła z nich prawda ciemności w dzień jasny zamieniająca. Być może; myśl ludzka wiecznie czynna i działająca szuka ciągle dróg nowych do swego rozwoju, zbyt materyalne orzeczenia przeszłości oczyszcza z ziemskich naleciałości, ale zawsze panuje w niej duch i praca dla jego rozwoju. W dzisiejszem apostolstwie bez namaszczenia o duchu nie ma mowy, a nawet z rozpaczy czy niedołęztwa, odrzucono go jako rupieć zawadę przynoszący i został tylko zwierz ze zwierzęcemi popędami.

Długo oczekiwany pan Jan przybył nareszcie. Był to młodzieniec o kilka lat młodszy od Stanisława, blondyn, o zwyczajnych rysach twarzy, troszkę piegowaty, troszkę niezgrabny, ale miłej i pociągającej powierzchowności.

W rysach twarzy przebijała się łagodność i dobroduszność z miękkością właściwą kobietom połączone.

— Ach! to ty Stasiu, zawołał Jan, nie poznałem cię odrazu, bo któż mógł przypuścić...

— Kąpałem się mój bracie na galarach i ztamtąd podpłynąłem.

— Czekałem cię z wielką niecierpliwością...

— Już trzeci dzień jak przepatruję tratwy na Wiśle, ale słuchaj no, nie ma tu u was wódki? Zziębłem cokolwiek...

— Nie mamy mój Stasiu, bośmy wszyscy pod przysięgą zrzekli się jej używania.

— Jakto, i ty także? zapytał Stanisław wstrzymując się od wybuchu śmiechu.

— I ja także, odrzekł Jan z pewną nieśmiałością.

— Czyś zwaryował wódki nie pić? Oj ty zaściankowy chodaczku... ale potem o tem. Teraz zbierz manatki, ja wrócę na galar i przyślę łódź po ciebie. Spiesz się tylko i nie bałamuć.

— Jan pobiegł po klocach, Stanisław przeciągnął się i zwracając się do Wojciecha, rzekł:

— Bądź zdrów mój stary orylu, paplesz jak papuga, aleś uczciwy człowiek, daj rękę na pożegna-

nie. Tamtym nurkom ich gburowstwa nie zapomnę i zapłacę monetą co ich zadławi jak kość w gardle.

— Lepiej myśl o własnej skórze, odburknęli młodzi oryle, bo my choć nie garbarze, ale umiemy ją na glanc wyprawiać.

Stanisław w odpowiedzi rzucił tak straszne przekleństwo, że Wojciech aż się przeżegnał i szepnął:

— Leć dyable na złamanie karku!

Jeden z młodych tem samem powodowany oburzeniem, porwał za wiosło i byłby bluźniercę dobrze niem poczęstował, ale przytomny Stanisław nagle skoczył w wodę i puścił się nurkiem zaraz od tratwy a później wypłynąwszy pogroził pięścią.

W godzinę później Jan ze Stanisławem siedzieli w jednym z ogródków na Pradze zajadając, popijając i rozmawiając.

— Powiedz mi mój chłopcze, odezwał się Stanisław przybierając rolę mentora, dla czego obrałeś tak dziwaczny sposób podróży do Warszawy?

— Wychowałem się nad Wisłą, w pośród ludu wiejskiego, lubię więc Wisłę i dla tego...

— Oh! ty poetyczny marzycielu. Myśmy już od dawna rozbrat wzięli z podobnemi głupstwami, które pięknie świecą jak szych, ale są niczem, nawet psu na budę się nie zdadzą. Pozytywizm, o to mi rozum, i ja cały jak mnie widzisz od stóp do głów jestem zawziętym pozytywistą.

— Co to jest, bo nie rozumiem.

— Nie rozumiesz co to jest pozytywizm? Oj ty baraneczku nieświadomości! Czekaj, pozytywizm to jest... rzeczywistość... realność, jest to indukcya prowadząca do dedukcyi, od pararelli do pararelli, rozumiesz?

Jan kiwnął głową widocznie lękając się aby go o nieuctwo nie posądzono.

— O tym przedmiocie, mówił dalej Stanisław, pomówimy obszerniej. Wreszcie zapoznam cię z samym kwiatem naszej młodzieży naukowej...

— Ach! jakże ci wdzięczny będę. Ja tak pragnę ukształcić się, oświecić...

— Bądź spokojny, pod opieką moją poznasz wszystko i zostaniesz jak ja człowiekiem. Ale czemu nie palisz cygara?

— Matka mi nie radziła a przyrzekłem jej na łożu śmierci zachować wszystkie rady i...

— Nie bądźże dzieckiem, świat dla żywych nie dla umarłych. Kto żyje niech czuje że żyje, jak pójdziesz w dół skończy się wszystko i basta, ale nim dojdziesz do tej niewygodnej kwatery, trzeba używać świata póki służą lata.

— Mój stryj...

— Więc cię adoptował i zrobił przyszłym sukcesorem całej swej fortuny?

— Tak jest, zacny to człowiek, kocham go jak ojca...

— Bardzo pięknie, podobnym dobrodziejom należy się zawsze uznanie. Kochanie nie wymaga wydatku, można niem szastać z królewską prawdziwie szczodrobliwością. Musiał cię zapewne dobrze zaopatrzyć na drogę?

— Wyjechałem z niewielkim zapasem pieniężnym, bo po cóż miałem wiele zabierać? Ja tak mało potrzebuję...

— To źle, w Warszawie bez pieniędzy to jak bez nóg i bez oczów.

— Pojmuję to mój Stasiu, ale stryj powiedział że na każde moje żądanie przyśle ile będę potrzebować.

— A wiesz co, że to rozrzewniające, porusza mnie do samej głębi. Takim stryjom to pomniki za życia stawiać należy.

— Stryj cię także lubi i nie może nachwalić twojej zabiegliwości i dokładności w prowadzeniu interesów jakie ci powierza.

— Bardzo mu jestem wdzięczny za dobre chęci, ale wolałbym żeby lepiej płacił i nie był tak skąpym.

— Stryj mój skąpy, co też mówisz?

— Już ja to lepiej wiem mój drogi od ciebie, ale sza! nie mówmy o tem. Z bogaczami trzeba być niezmiernie ostrożnym, zawsze są to krówki z których mleko kapie, gdy z chudeusza i kropli nie wysączysz. Stryj zatem przysłał cię do Warszawy i powierzył mnie nad tobą opiekę?

— Tak jest mój Stasiu, była o tem długa narada z naszą gospodynią blizką pokrewną i z panem Buteckim zarządzającym całym majątkiem...

— Znam ich dobrze, starzy ale poczciwi i cóż uradzili?

— Powiedzieli, że cię znają od dziecka, że z poczciwych wychodzisz rodziców, że jesteś skromny, rządny, zaradny, roztropny, masz stosunki i znajomości i że jako starszy ode mnie tylko o lat kilka, będziesz najlepszym dla mnie towarzyszem w poznaniu świata i ludzi...

— Wybornie mój drogi, nie mogli lepiej trafić. Nie chwaląc się ale to zaszczyt przynosi ich przenikliwości. Tak mój braciszku, znam Warszawę jak obernię̨tego dukata po samej wadze w ręku, i mam tyle znajomości co włosów na głowie. Za miesiąc najdalej zrobię z ciebie takiego warszawiaka, że sam siebie nie poznasz spojrzawszy w lustro.

— Tego tylko pragnę, odrzekł Jan z uśmiechem zadowolenia. Powiadają że jestem nieśmiały, mało samodzielny, że mi potrzeba przetrzeć się w świecie między ludźmi...

— Już ja cię przetrę, bądź spokojnym, ale powiedz mi co za powód skłonił i ciebie i stryja do postanowienia wyjazdu do Warszawy tak nagle?

Jan zarumienił się i przetarł czoło.

— No, no, odezwał się Stanisław z uśmiechem, widzę że jakaś awanturka się przytrafiła która ci usta zamyka. Przede mną jednak powinieneś wszystko otwarcie wyznać, nie lękaj się, jestem wyrozumiałym.

— Tak, awanturka, odrzekł Jan siląc się na wyznanie, za którą tak się wstydzę że bez zapłonienia wspomnieć o niej nie mogę.

— Pewno jakaś przelotna miłostka.

— Sam nie wiem jak to nazwać.

— To może doraźna, złapana na gorącym uczynku w pocałunku, w uścisku....

— Co też mówisz, czyżbym śmiał! przerwał Jan ze zgrozą nowym oblewający się rumieńcem.

— Więc cóżeś wypłatał takiego bo już domyśleć się nie mogę.

Jan spuścił oczy i coś mruknął niezrozumiale.

— Wybornyś mój drogi! zawołał Stanisław. Ta twoja panieńska wstydliwość rozczula mnie. Daj buzi młodzieńcze, jesteś niezrównanym, prawdziwym unikatem w swoim rodzaju. Mój braciszku wszystko to stare dzieje, a co stare pleśnią trąci i wstręt budzi. Możeś jakiej mężatce na klęczkach....

— Mężatce? z zadziwieniem powtórzył Jan robiąc wielkie oczy.

— Gadaj więc Jasiu, opowiedź wszystko jak spowiednikowi, bo pewno do spowiedzi chodzisz?

— Zawsze przed Wielkanocą z całym domem...

— Prześlicznie! A zatem jakiż powód wygnał cię do Warszawy?

Jan westchnął i zaczął się bawić kluczykiem od zegarka wiszącym na czarnym sznureczku. Stanisław wpatrzył się w niego, pokiwał głową z politowaniem i przybierając poważny wyraz twarzy, rzekł:

— No, mów Jasiu, przede mną możesz wszystko wyznać otwarcie, a trzeba to zrobić skoro mam ci być przewodnikiem.

— Ja to sam czuję, tylko się lękam że się wyśmiejesz a to przykro..

— Prawda, byłem cokolwiek nierozważny, ale to minęło. Wesołość potrzebna w życiu jak sól w jadle, usuńmy ją jednak, a mówmy jak przyjaciel z przyjacielem, co umie darzyć współczuciem i radą.

— O tak, tego najbardziej potrzebuję. W domu miałem tyle zmartwienia, tak się rumieniłem.... że myślałem iż głowę stracę, a nikt nie dał pociechy....

— Ja ci ją dam, bądź pewny mój Jasiu, przerwał Stanisław ściskając Jana za rękę. Tylko młody z młodym porozumieć się mogą a jam twój przyjaciel.

— Dziękuję ci, serdecznie dziękuję. W domu wszystko ludzie starzy, w okolicy młodzież jakaś taka odpychająca.... a ja tak pragnę przyjaznego serca, możności wylania się z każdą myślą, z każdem wrażeniem, uczuciem...

— Poczciwy chłopcze, nie rozrzewniaj mnie bo się rozpłaczę, przerwał Stanisław podnosząc rękę do oczów dla ukrycia śmiechu, do którego czuł niepohamowaną chętkę.

Jan rzucił się w objęcia Stanisława i na prawdę rozpłakał, nawet załkał przyciszonym głosem, a Stanisław tuląc go do siebie i pocieszając mówił sobie w myśli:

— Czy ten głupiec jest tylko maniakiem czy zupełnym waryatem?

— No uspokój się mój drogi, rzekł wreszcie wyściskawszy i wycałowawszy krewniaka. Smutki wyrzuć z serca.

— Ach! gdybym to mógł, gdybym mógł zapomnieć...

— Zapomnisz, zapomnisz, zaręczam cię. Warszawa to cudowne miasto, wszystko w niej znajdziesz nawet zapomnienie przeszłości...

— Dałby to Bóg, bo prawdziwie jestem w rozpaczy.

— Opowiedz mi więc wszystko, to ci ulży...

— Tak, czuję to, a jednak się lękam...

— Przed przyjacielem być otwartym? Nie bądźże dzieckiem! Wyznanie twoje połączy nas, zjednoczy, obudzi zobopólne zaufanie i będzie obu nam dobrze. I ja także nie jedno ci opowiem co mi dolega...

— Czy tak e kochasz się?

— Czy kocham się? powtórzył Stanisław, rzucając na Jana spojrzenie z pod którego wyglądał śmiech starannie tajony. Hm! tak, kocham się, zakończył westchnieniem a w myśli mruknął: w dukacie!

— Może ci nie jest wzajemną?

— Zgadłeś. Za ideałem moim gonię bez wytchnienia, niestety dotąd nadaremnie. Nie tracę jednak nadziei..

— Toś szczęśliwszy ode mnie, bo ja ją zupełnie straciłem.

— A to kto słyszał tak łatwo upadać na duchu?

— Nie może być inaczej.

— Zatrważasz mnie Jasiu, ale opowiedz mi wszystko, może jako poradzimy.

Jan potrząsł głową.

— Słuchaj, opowiem ci wszystko od samego początku...

— Od końca trudno opowiadać.

— Chciałem powiedzieć od najmłodszego wieku, czy tylko się tem nie znudzisz?

— Ale gdzietam! możesz nawet rzecz poprowadzić od samej kołyski gdyś był jeszcze sysakiem. Dla przyjaciela najmniejszy szczegół jest interesującym.

— Jakżeś ty dobry, jakże jesteś....

— No, mów Jasiu, bo czasu szkoda, przerwał Stanisław i zapaliwszy cygaro rozsiadł się jak słuchacz który z góry wie że się porządnie wynudzi.

Rozdział XXI.

— Od najmłodszego wieku, odezwał się Jan po chwili namysłu, może to dziwnem się wyda, ale jak tylko zapamiętam czułem potrzebę kochania...

— To jak ja zupełnie, gust przytem miałem wytworny.

— Moje kochanie innego było rodzaju. Kochałem pieska pokojowego, kotka, ptaszka i każda krzywda im zrobiona bolała mnie i prawie do łez wzruszała serce...

— Bardzo pięknie, bo bez serca i ducha to szkieletów ludy, jak powiada Mickiewicz.

— Byłem wtenczas małym chłopcem, jedynym u swoich rodziców, pieszczonym, strzeżonym i zawsze otoczonym opieką...

— Zapewne młode i ładne musiałeś mieć piastunki?

— Tego nie pamiętam, wreszcie i dziś się tem nie zajmuję.

— W Warszawie pełno mamy piastunek różnego kalibru. Saski ogród roi się niemi i nieszpetnych buziaków ma mnóstwo. Ale mów dalej.

— Później lubiłem te stworzenia, broniłem od prześladowania, ale przekładałem towarzystwo córki naszego karbowego Magdusi...

— Stawałeś się więc pozytywnym, zupełnie jak ja, i cóż stało się z Magdusią?

— Uczyłem ją czytać i pisać starając się być tak poważnym jak mój nauczyciel...

— A wiesz co, że to zabawne, przerwał Stanisław śmiejąc się.

— Tak, zabawne, potwierdził Jan i roześmiał się ale z innego zupełnie powodu. Małpowanie, mówił dalej, zawsze jest zabawne, tymbardziej z zacnego i poważnego nauczyciela, przez kilkonastoletniego młokosa jakim wówczas byłem.

— No, cóż dalej?

— Magdusia poszła za mąż, nauczyłem ją jednak pisać i czytać i choć zmartwiłem się cokolwiek ale pocieszałem myślą, że pamiętać o mnie będzie całe życie i wspomni zawsze ile razy książkę lub pióro weźmie do ręki.

— Skróć to opowiadanie rozrzewniające, bo pójść spać z tak rozrzewnionem sercem to denerwuje.

— Po rozstaniu się z Magdusią miałem lat osiemnaście i wkrótce zakochałem się w krewniaczce naszej Beluni, o granicę tylko od nas mieszkającej. Miała lat czternaście...

— To prawie dla ciebie.

— I ja tak myślałem, widywaliśmy się codziennie, czytywaliśmy wspólnie, bawili w różne gry, z młodszemi braćmi, siostrami i nauczycielką chodziliśmy na przechadzkę do ogrodu, w pole lub do lasu, służba nazywała nas małżeństwem i tak się do tego przyzwyczaiłem, że już o niczem innem nie myślałem, tylko jak zacznę gospodarować na oddzielnym folwarku od stryja mi wyznaczonym i ożenię się.

— Prześlicznie, no i cóż się stało? Musieliście gruchać miłosne trele, marząc jak słowiki o rodzinnem gniazdku z pisklętami wyciągającemi dziobki do rodziców...

— Ach! co też mówisz? Gdzieżbym śmiał...

— Więc o kochaniu nie było mowy.

— Co też tobie w głowie! Myślałem o niej, marzyłem, wszędzie ją widziałem przed sobą, po cóż więc miałem mówić o tem co mnie całego przejmowało. Wreszcie nie zastanawiałem się nad tem, kochałem i byłem pewny że mnie kocha bo zawsze byliśmy przy sobie.

— Uczyłeś ją zapewne czytać i pisać?

— Ej! tego przecie nie potrzebowała, ale grywałem z nią wspólnie dueta, ja na skrzypcach a ona na fortepianie.

— A cóż starzy na to mówili?

— Jacy starzy?

— No rodzice i stryj...

— A! rodzice, a nic, cóż mieli mówić?

— Na czem więc skończyły się te wasze dueta muzyczne?

— Bardzo smutnie...

— Zapewne przyszedłeś do rozumu i stała się owa awanturka o której wspominałeś.

— Tak mój drogi, i to awantura nie awanturka.

— No, no, zaciekawiasz mnie, i dla tego zapewne teraz nie chcesz się żenić?

— Jakże miałbym się żenić, kiedy panna poszła za mąż...

— Co? Poszła za mąż przed awanturą czy po awanturze?

— Nie rozumiem cię, powiedz wyraźniej.

— Więc cóż to za awantura o której wspominałeś?

— No, ta, że poszła za mąż.

— I to nazywasz awanturą?

— Naturalnie, bo kiedy już byłem pewny i codziennie...

— Grywałem z panną duety, przerwał Stanisław, przyszedł inny i zaprosił pannę do małżeńskiego duetu.

— A tak mój drogi. Dowiedziawszy się o tem osłupiałem, zdawało mi się że zatracę się, oszaleję, wychudłem, wymizerniałem, gospodyni stryja łamała ręce, Butecki kręcił wąsy a stryj wzdychał i nic nie mówił. Długo potem radzili a ja byłem tyle nieszczęśliwy, że wszystko wysłuchałem choć do narady nie należałem. Ach! żebyś wiedział co mówili o mnie...

— Zapewne żeś niezdarek, żeś wychowany za piecem nie umiesz się obrócić pomiędzy ludźmi, żeś pupka, pieszczoch...

— Czy stryj ci to napisał?

— Nie... to jest tak, napisał, a jakże, napisał, napisał, przypominam sobie teraz dokładnie.

— I nic więcej stryj ci nie donosił?

— Nie przypominam sobie, a czy to nie wszystko?

— Mój drogi, to dopiero początek. Dowiedziałem się na tej podsłuchanej rozmowie, że najwięcej mnie obmawiał i ośmieszał pan Zygmunt narzeczony panny Izabeli. Napisałem więc ostry list do niego przed nikim się nie zwierzając i wyzwałem na pojedynek...

— Aj! i cóż? Wpakowałeś mu zapewne kulkę pod piąte żebro?

— Stryj dowiedział się o tem i zapytał dla czego z Zygmuntem wdałem się w awanturę...

— Aha! jestem w domu, dotarliśmy przecie do owej nieszczęśliwej awantury co cię do Warszawy przygnała. Jakże, zabiłeś go?

— Niewiele brakło.

— Więc raniłeś go zapewne i to ciężko?

— Ej! myśmy się nawet nie pojedynkowali...

Stanisław parsknął śmiechem, zgięty przeszedł się koło stołu, Jan zrobił wielkie oczy i patrząc na Stanisława z podziwem zapytał:

— I czegóż się śmiejesz? Gdyby nie stryj awantura ta nie byłaby się tak skończyła i albo ja albo Zygmunt zostałby trupem na placu. Ale na szczęście stryj w obszernej rozmowie dowiódł mi, że wszystko co Zygmunt powiedział jest prawdą i że w takim razie największą zemstą będzie przemienienie siebie na takiego któryby na zarzuty podobne nigdy nie zasłużył.

— I cóż ty na to?

— W pierwszej chwili byłem jak odurzony...

— Jakto, nie starałeś się przekonać że stryj nie ma słuszności?

— Człowiek w takim wieku jak stryj mój...

— Właśnie dlatego że stary. Starzy ludzie mają zwykle pełno przesądów, nawyknień, opacznych zasad, niezgodnych z postępem i duchem czasu, którem młodzi nie mogą i niepowinni ulegać. Dzisiejsza pedagogika na pozytywizmie oparta, przyjęła nawet za zasadę wpajanie w dzieci do tego stopnia samodzielności, że radzi aby się ze starszemi o każde zdanie, przestrogę, poradę ujadały ząb za ząb i nie przejmowały ślepem dla nich posłuszeństwem jak to dawniej bywało. Mickiewicz powiedział: dzieckiem w kolebce kto łeb urwał hydrze, młodzieńcem zdusi centaury! a jakże ma dziecko łeb urwać hydrze, kiedy mu nawet łba u lalki oberwać nie pozwalają.

— To prawda, ale jakiś ty szczęśliwy że tak umiesz wszystko naukowo dowodzić.

— Ba, ba, ba! Żebyś tyle dzieł przewertował co ja...

— Jakże pragnę tego, mnie właśnie takiej wymowy brakuje, i gdybym ją posiadał, nie przyszłoby do takiej awantury, Poczekaj, naprawimy ją.

— Ach! mój drogi, jakże ci będę wdzięczny.

— Czy umiesz strzelać z pistoletu?

— Nie umiem, matka mi nawet strzelby do ręki wziąść nie pozwalała, obawiając się wypadku.

(*d. c. n.*)

WIEDEŃ I ŻYCIE WIEDEŃSKIE.

PRZEZ

Wiktora Tissot.

(Autora słynnej „Podróży do kraju miliardów“.)

Streszczone przez J. B.

(Dalszy ciąg).

Nieznajomy przekręcił klucz w zamku, potem probował wszystkich znajdujących się w warsztacie wytrychów; ale żaden nie mógł otworzyć kłódki; Marcin wyszedł zwycięzko z zadania i wykonał arcydzieło.

— Doskonale! zawołał nieznajomy, a zwracając się do Marbachera i stojących obok niego czeladników, rzekł im wskazując na ucznia: zdołał wykonać obstalowaną robotę, dzięki swej zdolności, pracy i wytrwałości; ja daję mu za to kiesę złota, a cóż ty mu dasz, majstrze Marbacher?

— Tytuł towarzysza i wyzwolenie! odrzekł szorstkim głosem ślusarz, dławiony złością i zazdrością.

Nieznajomy kazał założyć obręcz około drzewa rosnącego na placu zwanym Końskim targiem, zamknął ją a sam odszedł zabrawszy klucz, od tej chwili nikt go już nie widział.

W tydzień później Marcin odjechał do Norymbergi, tam wszedł do warsztatu majstra Veit'a i pracował z nim około grobu Ś. Sebalda, stanowiącego artystyczną relikwię Norymbergi. Następnie wykonał kilka znakomitych prac w Augsburgu, poczem powrócił do Wiednia, właśnie w chwili gdy rada miejska nadawała stopień i przywileje majstra, robotnikowi-towarzyszowi któryby potrafił dorobić klucz

do kłódki koła otaczającego drzewo rosnące na Końskim targu, przezwanego „żelaznem drzewem.“ Wielu probowało, ale nikt nie mógł dorobić klucza; Marcin doskonale pamiętał model klucza i zrobił go w przeciągu kilku dni. Burmistrz, radzcy, miejscy, w paradnych mundurach, w płaszczach aksamitnych naszytych złotemi galonami, cechy ślusarski i kowalski z rozwiniętemi chorągwiami, a po za nimi liczne tłumy ludu, udały się na plac aby być świadkami nowej próby, ktora, jak mówiono, miała być ostatnią.

Pokłoniwszy się burmistrzowi, panom, radzcom i starszym cechu, Marcin zbliżył się do drzewa, wyjął kluczyk z kieszeni, pokazał go otaczającym, włożył w kłódkę, przycisnął mocno gdyż zamek zardzewiał, otworzył i obręcz opadła na ziemię.

Tłum zakrzyknął wiwat i głośnemi uczcił go oklaskami, a towarzysze ślusarscy, uszczęśliwieni i dumni zwycięztwem Marcina, podnieśli w górę zawieszone u pasa młoty, z radości, zaczęli jakby dzicy skakać i tańczyć w około drzewa, a potem każdy z kolei wbił gwóźdź w pień, dla uwiecznienia pamiątki dnia tego.

Marcinowi nadano publicznie stopień i godność majstra, burmistrz na znak błogosławieństwa szpadę swoją położył mu na głowie; dziekan cechu ślusarskiego i kowalskiego, trzykrotnie uścisnął dłoń jego, a czterech towarzyszy porwali go na ręce, i w tryumfie odnieśli do domu.

Marcin osiadł w Wiedniu a sława jego wzrastała z dniem każdym. Jego utworem jest krata chóru w katedrze wiedeńskiej. Podanie niesie, iż gdy po ukończeniu okazała się cokolwiek za krótka i niedostawała do ściany, ujął ją silnie rękami i rozciągnął jakby elastykę.

W gruncie niepokoił go bardzo ów tajemniczy układ, i zawsze prawie w niedzielę, zamiast jednej, całych dwóch mszy słuchał; w nocy dręczyła go bezsenność, gdyż myślał o owym fatalnym cyrografie, i stara matka jego słyszała nieraz, jak przewracał się na łóżku i szeptał modlitwy głuchym przerywane jękiem. Był bogaty, słynął głośno ze swoich artystycznych wyrobów w których nikt mu nie dorównywał, miał wszystko, co w oczach świata stanowi szczęście, a jednak nie był szczęśliwy.

— Ach! doprawdy, pomyślał raz sobie wracając z jakiejś hucznej zabawy, zupełnie niepotrzebnie tak się dręczę i niepokoję; będę żyć wesoło, bawić się i hulać, pal licho wszelkie troski!

Chcąc się rozerwać i zagłuszyć sumienie chodził codzień grać w karty pod *Kamienną żołędź* gdzie zbierali się najzapamiętalsi gracze. Pewnej soboty miał nader pilną robotę, przybył więc znacznie póżniej niż zwykle i dał się wciągnąć do szalonej gry. Na niej przeszła noc cała, dzień zaświtał; gospodarz otworzył drzwi, zapaleni gracze nic nie słyszeli i nie widzieli, i nie przestali grać, nie ruszyli się z miejsca, jak gdyby nadprzyrodzona siła przykuła ich do niego.

— Ho! ho! zawołał gospodarz *Kamiennej żołędzi* wchodząc w niedzielnym stroju, ho! ho! gra idzie! idzie! Zażył tabaki, i znowu mówił: ho! ho! gra to zupełnie jak polowanie; jak się zbytnie zapędzić, to już i nie wiadomo gdzie się zajdzie.

Zbliżył się do stołu, pochylił ku graczom, i rzekł jakbym z ojcowską pieczołowitością i przyciszonym głosem:

— Panowie, proszę was, nie hałasujcie tak bardzo; summa się rozpoczęła, a burmistrz na starość stał się bardzo surowym.

— Summa się rozpoczęła! krzyknął Marcin blednąc i upuszczając karty.

— No, juźcić nie primarya... toć już dawno dziesiąta wybiła... he! he! he! śmiał się gospodarz.

Marcin wstał, nogi się pod nim chwiały, wyszedł nie powiedziawszy już ani słowa, trzymając się ścian i stołów; inni gracze patrzyli na niego z niewymownem zadziwieniem, pokiwali głowami i rzekli litując się: „zwaryował!“

Wyszedłszy z oberży, Marcin spotkał owego nieznajomego pana, którego nie widział od czasu jak opuścił warsztat Marbachera. Szedł sobie pokręcając wąsa, w kapeluszu przychylonym ku uchu, z ręką wspartą na rękojeści szabli, unosząc nieco długi swój płaszcz. Na ustach jego błąkał się szyderski uśmiech, czarne oczy rzucały płomieniste spojrzenia.

— Za późno! zawołał takim głosem iż obił się o uszy Marcina jak dzwon pogrzebowy, za późno!

Na widok tej postaci którą poznał od razu, Marcin zaczął biedz co tchu w kierunku kościoła Minorytów, gdzie ostatnia msza odprowianą była po godzinie jedenastej. Nieznajomy szedł za nim i nie śpiesząc się razem z nim stanął przed kościołem. Marcin zadyszany jednym skokiem przebiegł peron i wszedł do kościoła, właśnie w chwili gdy kapłan zwracając się do ludu wymawiał *Ite missa est.*

— Boże zmiłuj się nade mną! zawołał, i padł bez zmysłów na posadzkę. Wyniesiono go z kościoła; gdy ciało przyniesiono do matki było czarne jak węgiel, i widziano że w chwili skonu kłęby dymu wybuchały z ust jego.

Pochowano go okazale na cmentarzu przy kościele katedralnym, a wieczorem, o godzinie o której Marcin chodził zawsze pod *Kamienną żołędź*, dawał się słyszeć głos płaczliwy, wołający: „Msza! Msza!“

Od owego dnia weszło w zwyczaj, że każdy towarzysz ślusarski przybywający do Wiednia lub opuszczając to miasto, wbijał gwóźdź w pień „żelaznego drzewa“ i odmawiał *Ojcze nasz* za spokój duszy nieszczęśliwego Marcina.

VIII.

Tak w Wiedniu jak w Paryżu wiosna uśmiecha się niekiedy z pośród zimowych śniegów. Wtedy powietrze jest tak miłe, łagodne i świeże, słońce przyświeca i grzeje tak mile, że ludność cała najpierw otwiera okna a następnie wylega na ulice. Wszystko dokoła zdaje się nową przybierać postać, i tak się jednoczymy z odradzającą naturą, iż czujemy że jak w niej i w nas nowe krąży życie. Ciało jest lżejsze, dusza do wyższych zdolna porywów, serce wznosi się po nad padół ziemski.

— Korzystajmy z tak pięknego czasu, rzekł do mnie jeden z moich przyjaciół i wejdźmy dziś na wieżę Ś Szczepana, którą pragniesz zwiedzić; mam już dla nas bilety wejścia. Widok ztamtąd przepyszny, wstępując opowiem ci historyą architekta Pilgrim'a.

Weszliśmy na wązkie wężowato wijące się schodki; wchodzącemu na nie zdaje się że zapuszcza się w komin tak jest ciasno i ciemno; powoli schody się rozszerzają, a z małych okienek umieszczonych w szczycie, przedziera się niepewne światło; na każdem piętrze otwierają się maleńkie drzwiczki, umieszczone poziomo jak wejścia do piwnic; z nich wychodzi się na galerye ciągnące się wzdłuż gmachu, niby kamienna koronka.

Dla wypoczynku zatrzymaliśmy się na balkonie wzniesionym na równi z dachami okolicznych domów. Wtedy rzekłem do mego towarzysza: Czekam na przyobiecaną mi historyą.

— Mistrz Pilgrim, rzekł mi mój towarzysz, architekt wieży Południowej na szczycie której staniemy za dziesięć minut, był jednym z tych genialnych artystów z jakich słynął Strasburg, Kolonia, Ulm i Spir; cudowne arcydzieło, kazalnica katedralna, jest utworem jego dłuta. Spojrz na tę głowę wyglądającą oknem po nad nami; siebie to artysta w niej przedstawił.

Pilgrim miał córkę, dziewicę zachwycającej urody, imieniem Cecylia, w której kochał się jeden z jego uczni, tak jak to wówczas kochać umieli; wszystkim aniołom swego dłuta zdobiącym gzyms i portyk katedry, dał rysy ukochanej. Pewnego poranku po skończeniu pierwszej wieży, Pilgrim siedział zamyślony, wtem uczeń jego wszedł do niego, mówiąc drżącym od wzruszenia głosem:

— Mistrzu, kocham twoją córkę, i ośmielam się mniemać że jestem kochany.

Pilgrim zachmurzył się i zmarszczył brwi.

— Mistrzu, mówił dalej uczeń, przychodzę prosić cię o jej rękę.

Pogardliwy uśmiech przebiegł po ustach Pilgrima, założył ręce na piersiach i odrzekł dumnie:

— Zapewnie żartujesz, a któż to ty jesteś żebyś śmiał marzyć o ręce córki mistrza Pilgrima?... Nie posiadasz ani majątku ani sławy...

— Sławę pozyskam, a sława da mi majątek, odrzekł żywo uczeń.

— Pozyskasz sławę i majątek!... i mówisz to z taką pewnością, na czemże to opierasz te nadzieje?

— Mistrzu, czuję się silny, tem co i twoją stanowiło siłę, jestem odważny, wytrwały i ambitny.

— A jeźli tylko ambitny?

— A więc, odrzekł Puxbaum, niech mój czcigodny mistrz wystawi mnie na próbę, niech mi poda warunki na jakich odda mi rękę swej córki, a wtedy przekona się co dokonać potrafię.

— Zbuduj drugą wieżę tej katedry, a wtedy otrzymasz rękę mej córki, odrzekł szydersko i pogardliwie Pilgrim i odwrócił się plecami.

— Tak, mistrzu, zawołał Puxbaum z uniesieniem, tak, siłą woli i rozumu mego, wzniosę tę drugą wieżę tyle przedstawiającą trudności! I wieża ta będzie mojem dziełem, i będzie równie piękna i wyniosła jak jej siostrzyca, którą ty, mistrzu, zbudowałeś.

Pilgrim odwrócił trochę głowę i milcząc spojrzał na swego ucznia jak się patrzy na waryata.

— Mam słowo twoje, mistrzu, rzekł spokojnie Puxbaum, a jest to słowo zacnego człowieka, więc polegam na niem. Według dzieła, ocenisz jego twórcę.

Nazajutrz Pilgrim zawezwany został do ratusza, dla odebrania umówionego za swą pracę wynagrodzenia. Burmistrz, radzcy miejscy i starsi cechów zebrali się na uroczyste posiedzenie, w paradnych strojach. Ofiarowali mu od cesarza złoty łańcuch, i nowemi ważnemi dukatami, wypłacono mu dwa razy taką sumę, jaką mu przyrzeczono za wystawienie pierwszej wieży.

— Powierzamy ci także budowę drugiej wieży, rzekł burmistrz.

Pilgrim zbladł, gdyż przypomniał sobie przyrzeczenie uczynione Puxbaum'owi; umiał jednak zapanować nad sobą, i odrzekł wzruszony:

Zmuszony jestem zrzec się tego zaszczytu, odrzekł spokojnym głosem; raczycie dostojni panowie zezwolić, aby budową tej wieży zajął się jeden z moich uczni.

Wszyscy spojrzeli po sobie z zadziwieniem.

— Któż to jest ten uczeń tak wielki zapowiadający geniusz? zapytał burmistrz.

— Puxbaum, dostojni panowie, odrzekł kłaniając się Pilgrim, a nazwisko to już teraz znienawidzone, zaledwie przeszło mu przez usta, czuł że go ściska za gardło.

Pilgrim miał jednego jeszcze ucznia, nazwiskiem

Herder, który także pragnął pozyskać rękę pięknej córki swego mistrza, ale był dwadzieścia lat starszy od Puxbauma, a nikczemny i zawistny charakter tak się odbił w jego twarzy, iż widok jego budził odrazę. Gdy się dowiedział że sam Pilgrim wskazał aby Puxbaum'owi powierzono budowę drugiej wieży, poprzysiągł nieubłaganą zemstę nienawistnemu współzawodnikowi.

Nie troszcząc się o odgróżki swego przeciwnika, Puxbaum rozpoczął swoje dzieło i wieża wznosiła się coraz wyżej, na wielką uciechę Wiedeńczyków, którzy podziwiając działalność młodego architekta, wielkiem go otoczyli współczuciem. W miarę posuwania się wieży, która także miała nosić jego nazwisko, Pilgrim zestarzał się widocznie i stawał się coraz więcej milczący i ponury. Zamykał się w domu całe tygodnie, a niekiedy późno w nocy gdy już wszyscy spali, otwierał okno i całe godziny wpatrywał się z zawiścią w wieżę budowaną przez jego ucznia, która jak już można było widzieć, będzie daleko piękniejszą i lżejszą niż pierwsza. Trapił się tem niewymownie, aż rozchorował się ciężko i pewnego poranku znaleziono go nieżywym w łóżku. Zabiła go zazdrość.

Korzystając z tej okoliczności, Herder rozgłosił że Puxbaum zawarł umowę z dyabłem, że za jego pomocą skłonił starego Pilgrima do przekazania mu budowy wieży, a następnie przez czary odebrał mu życie. Pogrzeb starego mistrza odbył się z królewskim przepychem; pochowany był późnym wieczorem przy świetle latarni na cmentarzu otaczającym katedrę. Dzwony odzywały się smętnie, jakby opłakując stratę swego twórcy.

Tłum się rozszedł, ciemność i milczenie zaległy cmentarz, jeden tylko człowiek pozostał na nim, stojąc jakby przykuty do miejsca. Był to Puxbaum zapatrzony w swoją wieżę; w niej ześrodkowały się wszystkie jego myśli. Choć dotąd wzniosła się tylko na jedną trzecią część zamierzonej wysokości, wyobraźnia ukazywała mu ją ukończoną i strzelającą pod obłoki, strojną w swe przepyszne gotyckie ozdoby.

Wtem nagle poskoczył zadziwiony; postrzegł cień jakiś przeskakujący nader zręcznie drabinki rusztowania; zawołał nań, cień doszedł na sam szczyt ale nic nie odpowiedział. Domyślając się że może to być ktoś złemi ożywiony zamiarami, przebiegł prędko dwanaście drabin oddzielających go od niego. Gdy już głowa jego była na równi z ostatniem rusztowaniem, postrzegł wyraźnie idącego ku sobie człowieka, ale że był odwrócony od światła, Puxbaum nie mógł w ciemności dojrzeć rysów twarzy.

— Kto jesteś? zawołał przebywając ostatni szczebel.

Nieznajomy przysuwał się nic nie odpowiadając.

— Co tu robisz? zapytał Puxbaum groźniej.

— Spaceruję sobie, odrzekł, i architekt poznał głos Herdera, swego rywala i wroga.

— Tu ani miejsce, ani pora do spaceru.

— Czemu, skoro mi się tak podoba?

— Ale mnie się nie podoba.

— Nie możesz mi tego zabronić.

— Przeciwnie, jestem tu u siebie i rozkazuję ci odejść natychmiast.

— Ty zejdziesz pierwszy, krzyknął Herder rzucając się na przeciwnika którego chciał zrzucić; ale Puxbaum zdołał pochwycić go za gardło i tak trzymając się silnie zakołowali kilkakrotnie w powietrzu i spadli aż na ziemię.

Straszna to była chwila! Spadając, Puxbaum puścił swego przeciwnika, zdołał chwycić się wystającej nieco deski której trzymał się z rozpaczliwym wysiłkiem. Herder zaś zanim spadł na bruk, wydał krzyk tak straszny i przeraźliwy, iż rozległ się w całem mieście, otworzyły się zaraz sąsiednie drzwi i okna, mnóstwo ludzi w nocnych negliżach wybiegło na plac i podnieśli zakrwawione strasznie okaleczone ciało. Głowa była roztrzaskana, twarzy rozpoznać nie można było.

— To architekt Puxbaum, szeptano, widać dyabeł zrzucił go z wysokości wieży.

W tem cudownie prawie ocalony Puxbaum, ukazał się przerażonej gromadzie ludu, i wszyscy zaczęli uciekać żegnając się ciągle. Odtąd powstało niezachwiane przekonanie że architekt zaprzedał duszę dyabłu; unikano go powszechnie, tak że osamotniał widocznie. Gdy go ktoś spotkał, zawracał śpiesznie w przeciwną stronę aby nie spojrzeć mu w oczy; robotnicy nie chcieli pracować pod jego kierunkiem, groził mu proces o czary i konszachty z szatanem, tak więc zmuszony był opuścić Wiedeń. Z tłomoczkiem na ramieniu, z kijem wędrownym w ręku, poszedł pożegnać się z tą która przysięgła że pozostanie mu wierną.

Ale od owej chwili nikt już nic nie słyszał o Puxbaumie, i druga wieża katedry pozostała nieskończoną.

(d. c. n.)

Jeszcze piosnka.

Puściłeś się w świat daleki
Sokole mój siry,
Po nad góry, po nad rzeki,
W zgubne życia wiry.

Wzniosłej myśli o przeszłości,
Którą masz na celu,
Chcesz poświęcić dnie młodości,
Mimo przeszkód wielu.

Znasz już walkę, wiesz co życie,
Co łza i westchnienie,
Nim na marzeń staniesz szczycie,
Poznasz co cierpienie.

Lecz nie lękaj się sokole,
Wichrów i zamieci,
Kiedyś nam się zmienią dole
I słonko zaświeci.

Eliza R.

Kronika paryzka

z życia społecznego, nauk, sztuk i literatury.

przez K. G.

(Dalszy ciąg).

Konserwy mięsa przychodzące z Ameryki, nabierają coraz większego znaczenia stanowiąc posiłek tani i zdrowy dla uboższych mieszkańców Paryża. Przechowywanie długie pożywienia okazało się dopiero wtenczas możliwem, skoro nauka potrafiła wkroczyć w okolice dawniej dla niej zupełnie nieprzystępne. W tej mierze powiemy słów kilka.

Człowiek otoczonym był ze wszystkich stron nieprzyjaciołmi. Po odniesieniu przynajmniej w Europie stanowczego zwycięztwa nad zwierzętami drapieżnemi, został jeszcze do pokonania świat niewidzialny dla gołego oka, a mimo tego wywierający wpływ ogromny na zdrowie i życie ludzi. Wyziewy bagien i gnijące ciała organiczne dają zawiązek myryadom drobnych istotek, przenikających wraz z powietrzem do naszego organizmu i sprowadzający febry rozmaitego rodzaju, cholerę, tyfus i t. p. Znajdują się one wszędzie bez wyjątku, jedne szkodliwe więcej drugie mniej, ale rozdział w tej mierze jest bardzo względny, bo w dzisiejszym stanie nauki ich byt jest tylko zaznaczony a rodzaj ich życia i prawa rozwoju są jeszcze niewiadome. Widzieć ich można w każdej stancyi ciemnej przy puszczonym przez otwór wązki promienia słonecznego. Okoliczność ta była powodem dla hygieny do wskazania czystości jako najważniejszego warunku zdrowia. Skoro podłogi, ściany i wszystkie sprzęty w mieszkaniach nie są wymyte należycie, te drobne istotki w dalszym swym rozwoju stają się coraz szkodliwszemi dla osób tamże przebywających. Brudna podłoga może stać się powodem choroby a nawet śmierci, i prawda ta w nauce zaliczoną jest do rzędu pewników. Te mikroskopijne stworzenia nietylko napadają wprost na człowieka, ale przytem i pośrednio zatruwając przedmioty służące do pożywienia.

Skoro tylko ten świat niewidzialny został odkrytym i jego wpływ oznaczony, natychmiast rozpoczętą została zaczepna walka z rojami nieujętych stworzeń. W tym celu osuszano bagna, oczyszczano okolice z ciał gnijących, co wywarło w wielu miejscach skutki bardzo zbawienne.

W krajach ucywilizowanych, czystość uważaną jest za warunek niezbędny do szczęścia dla każdej dobrej gospodyni, a ponieważ w Hollandyi położenie kraju sprzyja rozwojowi zarodków powietrznych, woda więc i mydło zostają tam w ciągłem działaniu.

W pewnych jednak wypadkach środki wskazane nie są jeszcze wystarczającemi. Wynaleziono więc sposób trucia niewidzialnych nieprzyjaciół. Kwas phenique posługuje w tej mierze dzielnie, jakoteż i inne ciała z nim powinowate. Prócz tego znaleziono sposób do oczyszczania powietrza, ponieważ tą tylko drogą drobne istotki dostają się do organizmu człowieka jakoteż do przygotowanych pokarmów. Za pośrednictwem mocnego ogrzania niweczone są wszelkie organizmy żyjące, a dalszy ich przystęp przeszkodzonym jest przez grube obłożenie watą, której gęsta siatka stanowi częstokroć nieprzezwyciężoną zaporę dla tyle niebezpiecznych żyjątek. Przy operacyach chirurgicznych owijanie ran znacznym pokładem waty, okazało się w wielu razach bardzo pożytecznem.

W kilku słowach opowiedziane zdobycze naukowe, są owocem długich prac zanim nareszcie zdołano ująć prawdziwy punkt wyjścia. Dotychczas mięso przychodzące z Ameryki przechowywanem jest za pośrednictwem chwilowego mocnego ogrzania. Środek ten jednak w wielu razach wyborny niekiedy jednak nie dopisuje należycie. Zdarzały się w Paryżu wprawdzie nie wypadki śmierci spowodowane otruciem, ale choroby wywołane użyciem źle zachowanego mięsa.

Prawdopodobnie oziębienie będzie w tym celu skuteczniejszem od ogrzania, to też sposób wskazany przez Tellier wejdzie wkrótce w ogólne użycie. Jest to bardzo ważna okoliczność, bo lud francuzki pracuje bardzo, dla zastąpienia więc wyczerpanych sił potrzebuje wzmacniającego pożywienia, a niezawsze posiada odpowiednie środki do kupienia świeżego mięsa.

Mówiąc o istotkach nieskończenie małych, a mimo tego wywierających wpływ przeważny na zdrowie i życie człowieka, niepodobna pominąć nowych prac niezmordowanego p. Pasteur i sprawozdania przez niego uczynionego na posiedzeniu akademii nauk w Paryżu.

Przedstawił on uczonemu zgromadzeniu trzy ku-

ry z których dwie były żywe a jedna nieżywa. Historya tych trzech ptaków zasługuje na krótkie chociaż opowiedzenie, bo może ona stanowi epokę w therapeutyce medycznej.

Za pośrednictwem doświadczeń znanych już dzisiaj ogólnie, pan Pasteur wykazał przyczynę karbunkułu dotykającego tak zwierzęta jakoteż i ludzi. Źródłem choroby są istotki niewidzialne rozwijające się z nadzwyczajną szybkością we krwi zwierząt lub we krwi człowieka, skoro się tam raz dostaną, i zabijające nieszczęśliwą ofiarę w przeciągu dwudziestu kilku godzin. Żyjątkom tym nadano ogólne miano *bacteridie* i skoro je zaszczepiono największym i najzdrowszym zwierzętom, to te padały w przeciągu jednego lub dwóch dni. Wyjątkiem w tej mierze były ptaki, znoszące tyle niebezpieczne szczepienie najobojętniej i bez najmniejszej zmiany w stanie ich zdrowia. Ptaki nie ulegają karbunkułowi, taki był ostatni wyraz nauki, ale dlaczego? Na pytanie to dotychczas nie umiano odpowiedzieć. Pan Pasteur dopiero w tym roku zwrócił uwagę na różną temperaturę krwi ptaków, zwierząt czworonożnych i ludzi.

Stworzenia ulegające karbunkułowi mają w ogóle w ciele swem od 35 do 39 stopni gorąca a ptaki od 42 do 43 stopni. Przypuszczono zatem, że zbytnie gorąco we krwi może nie sprzyjać rozwojowi *bacteridie* karbunkułowych i zabijać je w samym zarodzie. Przypuszczenie to wielce logiczne sprawdzonem zostało przez p. Pasteur, który doświadczenie przez siebie dokonane opowiedział w sposób następujący:

— Mam zaszczyt przedstawić Akademii Nauk trzy kury, z których jedna zmarła z powodu zaszczepionego karbunkułu.

Druga kura czarna uległa tej samej operacyi, a chociaż użyto dwa razy tak wielkiej ilości bakteridi karbunkułowych, stan jednak jej zdrowia nie przedstawił najmniejszej różnicy.

Różnice następstw p. Pasteur objaśnił w sposób następujący:

Kura pierwsza nieżywa po zaszczepieniu karbunkułu, włożoną została do zimnej kąpieli czyli że temperatura jej krwi znacznie zniżoną została; druga zaś kura nie była wcale poddaną pod działanie zimnej wody. Trzecia nareszcie szara uległa kąpieli bez zaszczepienia karbunkułu dla okazania tylko, że zimna woda nie mogła być powodem śmierci kury pierwszej.

Z doświadczenia tego można wyprowadzić następujący wniosek. Ptaki nie podpadają karbunkułowi z powodu zbytniego gorąca krwi; skoro takowe zostanie oziębionem sztucznie to ulegają wzmiankowanej chorobie jak i inne czworonożne i dwunożne stworzenia. Jeżeli więc przez oziębienie krwi może być rozwiniętym karbunkuł w ptakach, to czy czasem przez jej ogrzanie nie mogą być uratowane od niechybnej śmierci zwierzęta i ludzie dotknięci tą chorobą? Wedle zdania pana Pasteur'a *bacteridie* karbunkułowe przestają rozwijać się na 44 stopni, do zabicia zaś człowieka i zwierząt dosyć jest ogrzać krew do 45 stopni. Doświadczenie więc jest możliwem szczególniej w chorobie uważanej za nieuleczoną. Spostrzeżenia p. Pasteur'a są tem ważniejsze, bo prawdopodobnie wszystkie choroby zaraźliwe jak cholera, tyfus, mają właściwe sobie *bacteridie*. Domysły te ulegną sprawdzeniu i akademia Lekarska wydała tego rodzaju postanowienie:

„Prace p. Pasteur otworzyły dla medycyny nowe zupełnie drogi. Kto z odkryć przez niego dokonanych zrobi najlepsze zastosowanie do sztuki leczenia, otrzyma w r. 1880 nagrodę wynoszącą sześć tysięcy franków.“

Prócz pieniędzy sława i błogosławieństwa najpóźniejszych pokoleń, czekają szczęśliwego badacza tego przedmiotu.

Tak jak wiek zeszły był wiekiem nauk społecznych i filozofów, tak czas obecny jest wiekiem nauk przyrodzonych i inżynierów. Umysł ludzki nietylko łączy oceany, nietylko podkopuje ich łożyska, ale chce wytworzyć nowe morze, mogące wywrzeć prawdopodobnie wpływ przeważny na zmianę klimatu podzwrotnikowych okolic.

Twórcą pomysłu w tej mierze jest major Roudaire mający cierpliwość i wytrwałość równą panu Lesseps. O zamierzonem dziele daje najlepsze wyobrażenie jego odczyt jaki miał w muzeum etnograficznem w Paryżu.

Pan Roudaire chce zamienić trudną do przebycia Saharę na morze będące znowu najłatwiejszym środkiem komunikacyjnym. Widział on na ogromnych przestrzeniach Sahary pewnego rodzaju wydrążenia, mające powierzchnię gładką jakby wyłożoną marmurem lub metalem. W wielu miejscach znajdują się kryształy Chlorur de sodium, czyli zwykłej soli kuchennej, zaspakajającej potrzeby mieszkających w pobliżu Arabów. Dna tych wydrążeń znajdują się trzydzieści metrów niżej powierzchni morza, i wedle zdania pana Roudaire, były niewątpliwie w przeszłości łożyskiem morskiem na co zresztą przytacza dowody z pism Herodota i Pomponiusa Mela. Okolice te kiedyś były wielkiej żyzności, co jedynie przypisać należy parowaniu wody z szerokiej przestrzeni morskiej. Dziś jeszcze bogactwo ziemi jest nadzwyczajne, bo głębokość czarnoziemu dochodzi trzydziestu metrów i jedynie tylko brak wody przeszkadza rozwojowi życia roślinnego.

Pan Roudaire w r. 1874 ogłosił w Revue des Deux Mondes pierwsze swoje opracowanie dotyczące tego przedmiotu, a zyskawszy poparcie panów Lesseps i Paul Bert, otrzymał od ówczesnego ministeryum francuzkiego dziesięć tysięcy franków na prowadzenie dalszych badań w tym kierunku. Po dokonaniu w różnych punktach koniecznych niwelacyi i pomiarów, wykończył cały plan mający wejść wkrótce w wykonanie.

Wzmiankowane wydrążenia, z których niektóre obejmują siedem tysięcy kilometrów kwadratowych, połączone będą kanałami rozmaitej długości od trzech do ośmiu kilometrów. Największą trudność przedstawiać będzie wydrążenie zwane *Djerrid*. Położonem ono jest powyżej powierzchni morza i jego dno złożonem jest z piasku i soli, poniżej zaś znajdują się częstokroć niezmierzone pokłady wody, której byt udowodnionym jest przez częste i niespodziane rozpęknięcia. Wytworzone tym sposobem otchłanie pozbawiły życia wielu podróżnych i są postrachem dla Arabów. Pan Roudaire wraz z całym orszakiem w czasie swoich wycieczek naukowych, zaledwie uniknął z tego względu groźnego niebezpieczeństwa. Zamierzył więc wodę podskórną sprowadzić za pośrednictwem kanału do wydrążeń niżej położonych, a tym sposobem dno pozbawione swej podpory zapadnie się lub też rozsadzone będzie dynamitem.

Spadek wody będzie ogromnym, to też siła z tego źródła otrzymana spożytkowaną zostanie dla uskutecznienia przekopów. Pomijając inne szczegóły techniczne, wypada wymienić niektóre zarzuty czynione mówcy w czasie posiedzenia.

Przedewszystkiem zwrócono uwagę na los wysepek urodzajnych (oasis) znajdującej się na pustyni piaszczystej. Wedle zdania p. Roudaire trzy tylko miejscowości tego rodzaju będą pochłonięte i to niewielkiej wartości. Obawa zbyt wielkiej zmiany atmosferycznej odpartą była również zwycięzko, bo w epoce Rzymian morze było na pustyni Sahara a mimo tego powietrze nie było tak dalece oziębionem aby aż wywołało zmianę klimatu. Z natury rzeczy ten nowy środek komunikacyjny, na podobieństwo kanału Suezkiego, ogłoszonym będzie za neutralny posługujący jedynie do przewozu towarów i wycieczek naukowych. Nowo wytworzone morze przez parowanie da trzysta dziewięćdziesiąt milionów beczek wody, która później w postaci deszczu lub pary spływać będzie na wysuszone obszary Algieru. Korzyści będą olbrzymie; wiele źródeł i rzek wyschłych będzie ożywionych, rolnictwo zajaśnieje niezwykłym blaskiem, bo ziemia dziewicza potrzebuje tylko wilgoci aby opłacić tysiącznym plonem najlżejszy trud ręki człowieka.

Dotychczasowe upały w tych okolicach zastąpione będą przez klimat więcej umiarkowany, bo parowanie wody wywoła konieczny ruch powietrza. Wiatr *Siroco* postrada swe piętna złowróżbne, ale przeciwnie będzie ożywczym i dobroczynnym. Zaiste korzyści wielkie, godne olbrzymiej pracy jaka ma być przedsięwziętą.

(d. n).

Przegląd literacki.

Cudzoziemcy w Polsce, przez Ksaw. Liskego. Lwów 1876. Nakładem Gubrynowicza i Schmidta 8-vo str. 342.

(Dokończenie).

Oprócz tych wiadomości o intrygach politycznych i knowaniach partyi francuzkiej, których króciutkie streszczenie podaliśmy, relacya Werduma zawiera wiele ciekawych spostrzeżeń i szczegółów tyczących się ówczesnego społecznego, ekonomicznego i obyczajowego stanowiska Polski. Werdum niebardzo był życzliwym dla Polaków; należał on do owej seryi pesymistów, o których wspomnieliśmy powyżej; często nawet mówi drwiąco i z przekąsem o obyczajach Polaków, a zwłaszcza o religii i nabożeństwie, gdyż sam był protestantem. W osobnym rozdziale p. t. Rząd, religia, sposób życia w Polsce i t. d. zastanawia się podróżnik nad urządzeniami i obyczajami w Polsce. Według jego zdania, król polski, choć mało ma władzy, ale posiada obszerne prerogatywy z których tylko potrzeba umieć korzystać; rozum stanu (ingenium) potrzebniejszym jest królowi polskiemu niż innemu jakiemu monarsze. In Polonia tantum valet rex, quantum pollet ingenio (w Polsce król tyle znaczy ile posiada rozumu) słowa przypisywane Stefanowi Batoremu — sentencyonalnie przytacza nasz podróżnik. O religiach mieszkańców Polski mówi obszernie i znajduje, że Polacy zanadto w kościele krzyczą, wzdychają, uderzają głowami o mur i posadzkę i t. p. O Polakach mówi, że są silni, dłudzy i grubawi, a choć dzieci wychowują nieuważnie, to jednak rzadko znaleźć w Polsce ułomnego lub kulawego. O charakterze polskim tak się wyraża: „na zręczności rozumu także im nie zbywa, są atoli lekkomyślni i zmienni i różnym rozpustom zbytecznie oddani. Gdzie mają w tem interes i są słabszymi, umieją postępować bardzo pokornie i układnie; gdzie zaś natrafiają na słabą stronę i zapanują, stają się hardymi, zarozumiałymi i okrutnymi, tak że aut humiliter serviunt aut superbe dominantur (albo uniżenie służą albo dumnie panują).“

Podziwia też podróżnik używaną przez Polaków niezmierną ilość komplementów i pochlebstw w rozmowach i manią tytułów. Chwali wdzięk kobiet, zwłaszcza Rusinek we Lwowie. Zarzuca Polakom

w ogóle niedbalstwo i lenistwo, a ztąd zaniedbanie rolnictwa i ogrodnictwa, niemniej lichą architekturę domów. Dziwi się wielkiej ilości spożywanego przez Polaków jadła, mówi o rozpowszechnieniu pijaństwa i innych brzydkich nałogów. Mówi o ciekawości przodków naszych, upatrując związek pomiędzy tą cechą charakteru i próżniactwem. Dosadnie i uszczypliwie maluje pochopność Polaków do bójki, hojnie szafowane przez nich klątwy i przysięgi i wyśmiewa ulubioną wówczas w Polsce, a bardzo kulawą łacinę. Opisuje też ubiory Polaków ówczesnych: dziwi się zbykowi futer i brakowi bielizny; barwę szat niebieskich, podaje, jako ulubioną przez szlachtę. Chwali urodzajność ziemi, klimat i taniość produktów; za talara można było wówczas kupić 80 funtów mięsa. W ogóle, opisując swe podróże, nie pomija żadnego miasteczka, żadnego kościoła, żadnej wsi szlacheckiej, ztąd pełno u niego niezmiernie ważnych szczegółów historycznych i geograficznych. Chociaż nieraz (było to bezpośrednio po wojnach i spustoszeniach) ubolewa nad wyludnieniem kraju, wszelako ilość wsi i miasteczek w niektórych częściach kraju była wówczas może nawet znaczniejsza niż dzisiaj, gdyż wielu nawet przez Werduma wspomnianych p. Liske dziś odszukać nie może. Co do uwag i zarysów obyczajowych, z których przytoczyliśmy kilka, pomimo pewnego uprzedzenia i pesymizmu, niepodobna nie przyznać Werdumowi pewnej trafności i nie przyznać, uderzywszy się w piersi, że niektóre wytknięte przezeń wady narodowe i dziś jeszcze są nam właściwe. Warszawę nazywa autor miastem źle zabudowanem; za najpiękniejszy pałac uważa Kazimierowski, w którym ukrywał się długo ze swym panem.

Po relacyi Werduma następuje wyciąg z podróży samego Bernullego — wydawcy pisma, z którego wzięto podróż Werduma. Astronom niemiecki zwiedzał Warszawę w roku 1778 i opisuje głównie towarzystwa naukowe, szkoły i rozmaite zbiory. Mówi z uznaniem o słynnych zakładach Tyzenhauza w Grodnie, o warszawskiej szkole medycznej, kierowanej przez Giliberta, o Towarzystwie Naukowem (mało dzisiejszym badaczom znanem) założonem w r. 1777 przez Mniszchów i Czartoryskich, opisuje bibliotekę Załuskich, podaje cyfry szkół i drukarń (tych ostatnich było wówczas w całej Rzeczypospolitej 33) i chwali wielce liczne grono światłych dam ówczesnych. Bernulli był sympatycznie usposobionym względem Polaków; Stanisława Augusta niezmiernie wynosi i wielkich rzeczy od niego się spodziewa; zgorszonym był jednak wrzawą i nieporządkiem w izbie sejmowej i z przekąsem mówi o strojnych biskupach ówczesnych.

Czwartym podróżnikiem był literat berliński Jan Biester, który zwiedził Polskę w epoce sejmu wielkiego (1791 r). Opis tej podróży wyjęty jest z wydawanego przez Biestera w Berlinie czasopisma miesięcznego. Biester był nietylko przyjacielem, ale nawet wielbicielem Polaków — rzecz, dziś jak i dawniej, pomiędzy Niemcami bardzo rzadka. Chwali więc wszystko i wszystkich, a nawet pochlebia, za co mu niezbyt jesteśmy dziś wdzięczni. Dość powiedzieć, że np. unosi się niezmiernie nad nadzwyczajną praktycznością Polaków. Usiłowania reformy żywo obchodziły podróżnika, przejętego ideami postępowemi; dużo więc miejsca poświęca krytyce ustawy sejmowej o miastach. W ogóle dość krótkowidzący, świetne pokładał nadzieje na papierowych reformach czteroletniego sejmu i na samym królu Poniatowskim.

Niektóre pomniejszej wagi pochwały Biestera, jeżeli nie są przesadzone, świadczą chyba, że od owych czasów w tych rzeczach cofnęliśmy się sporo wstecz. Tak np. unosi się Biester nad rzadkością kradzieży i bezpieczeństwem podróżowania po Polsce — co podobno w owych czasach istotnie było prawdą (a dziś?); chwali akuratność poczt i uprzejmość poczmistrzów, dziwi się że w Warszawie nigdzie nie bywa tłoczenia się i popychania w ciżbie, chwali w Polsce trzy rzeczy: chleb, wino i kawę, a w Warszawie — powozy i wodę (!) i t. d. W Toruniu Biester zwiedzał dom Kopernika i ani mu na myśl nie przyszło uważać go za Niemca; mówiąc o portrecie wielkiego astronoma, znajduje, że miał rysy zupełnie polskie, i wypowiada przypuszczenia że ojciec Kopernika musiał być chłopem i nazywać się Copernik (błędnie, gdyż jak wiadomo, ojciec astronoma był mieszczaninem krakowskim).

Do relacyi Biestera wydawca dodał wyjętą z innych notatek tegoż podróżnika powiastkę „Król Mykita," kartkę z procedury kryminalnej ówczesnej, malującą dzikie obyczaje i ciemne zabobony pierwszych osadników niemieckich, których Józef II sprowadził dla ucywilizowania Galicyi.

Ostatnią w książce p. Liskego jest relacya niejakiego Kauscha — lekarza pruskiego, który zwiedzał dawną Polskę w ostatnich latach jej istnienia. Podróż to najmniej ciekawa: wymowny lekarz szeroko i patetycznie, z widoczną przesadą, maluje nędzę i upadek kraju, szczególniej zaś ludu wiejskiego, zapuszczając się przytem w długie i nudne filantropijne wywody i liberalne kazania. Co się zaś tyczy biografii samego Kauscha, podanej przez p. Liskego dość szczegółowo, bez tej nawet zupełnie moglibyśmy się obejść.

Taką jest treść ciekawej tej książki, w ważniejszych jej punktach. Panu Liskemu możnaby uczynić kilka zarzutów co do niedostatecznej krytyki, powtarzania się w poprzedzających każdą relacyą wstępach, nakoniec co do pewnego zaniedbania formy artystycznej, stylu i języka; pomimo to wszystko dał nam jednak książkę bardzo zajmującą — jedną z najciekawszych, jakie ukazały się ostatniemi czasy, znacznie bogacącą nasze wiadomości o przeszłości lub odświeżającą w pamięci teraźniejszych czytelników rzeczy już nieco zatarte i zapomniane. Z niecierpliwością wyglądamy dalszych tomów publikacyi.

L. S. W.

Nowe wydawnictwa.

Praktyczny kucharz Warszawski zawierający 1,500 różnych potraw oraz przepisy przyrządzania zapasów śpiżarnianych i pieczenia ciast, wyszedł z druku zeszyt 8 nakładem Jana Noskowskiego. Skład główny w księgarni B. Casiussa ulica Miodowa N. 14. Cena całego dzieła rs. 1.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pan. Helenie S. w Berzenikach. Za pochlebne wyrażenie w liście Przyjaciel serdecznie dziękuje i cieszy się że młodsi bracia tak wielką z jego pisma odnoszą korzyść. Każde stanowisko człowiek podnieść może, a i najwyższe staje się niczem gdy je piastuje kloc duchem nieożywiony. Numer zaległy, powtórnie wysłano.

Pani Bronisławie w Sutrze. Wypadki czasem nadspodziewanie rozwijają się zabawnie, ale co takiem jest w rzeczywistości w opisie inaczej często wygląda. Upór ludzki nie ma granic gdy się rozbryka.

Panu W. K. Zgadzamy się zupełnie że nietylko zupełny brak poetów ale nawet rozumienia dobrego właściwej istoty poezyi. Zwykle tak się dzieje gdy materyalizm bierze przewagę nad duchem.

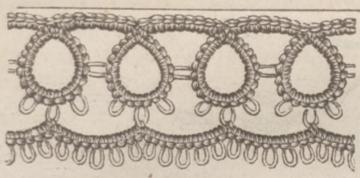
Pani Joannie W. w Liczynie. Pieniądze odebraliśmy, sprawunki natychmiast wyprawione zostaną w drogę.

Pani Kasyldzie W. w Mokoszynie. Za przyjęcie tak serdeczne Przyjaciela, Redaktor przesyła równie serdeczne podziękowanie.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i duży arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 26 Апрѣля (8 Мая) 1878 г. Redaktor J. K. Gregorowicz Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.



N. 1. Ząbki frywolitowe.

OPIS DO N. 18.

(Dokończenie)

N. 29. Kapelusz z jasno-popielatego filcu.

Siedm cent. szerokie rondo kapotkowego kapelusza, podszyte jest fałdowanym jedwabnym repsem, srebrno-popielatego koloru. Wielkie, jasno-popielate strusie pióro otacza główkę, na której prócz tego przypięte są pióra czaple. Przepasanie i kokardy z boku, oraz szarfy do wiązania, są z wstążki repsowej 9 cent. szerokiej.

N. 30. Kapelusz z czarnego tiulu.

Ładny wiosenny czarny tiulowy kapelusik, gęsto naszyty dżetowemi perełkami, ma główkę 9 cent. wysoką a rondko przystające do czoła 5 cent. szerokie. Główka jest gładko opasana wstążką atłasową $5\frac{1}{2}$ cent. szeroką, złączoną z przodu pod sutemi kokardami, z pod których wychodzą 3 strusie pióra, trochę na bok obrócone. Barbki tiulowe 92 cent. długie a 19 szerokie, oszyte koronką 4 cent. szeroką, przypięte są z tyłu gałązką róż żółtych.

N. 31. Kapelusz podróżny z główką wgniecioną.

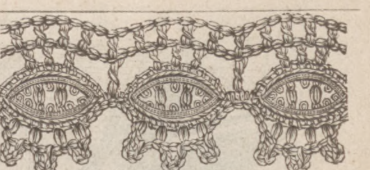
Opasany jest wstążką czarą repsową, 3 cent. szeroką, z boku związaną na kokardę, pod którą przypięte jest piórko strusie, czapla kitka i skrzydełka świecące kolorowe.

N. 32. Kapelusz biały słomkowy, ubrany repsem i piórami strusiemi słomkowego koloru.

N. 33. Długa mitenka z czarnej lub białej koronki irlandzkiej.

N. 34—36. Modne parasoliki.

Najmodniejsze obecnie parasoliki są wypukłe markizy i chińskie pagodowo, szpiczasto zakończone parasoliki, do częstego zaś wyjścia i podróży, ciągle używane są en-tout-cas z kolorową podszewką. Dwie lub trzy wypustki z grubym sznureczkiem używane są do przyozdobienia brzegu; wstążka związana na kokardę zastępuje dziś dotąd używane łańcuszki i sznury z kwastami. Do oszycia brzegów służą rozmaite frendzle, koronki i siatki.



N. 2. Ząbki z medaljonowej tasiemeczki obrobionej szydełkiem.



N. 3—4. Stanik z baskiną i kamizelką. Krój na arkuszu N. VI, Fig. 22—26.



N. 5. Okrycie wiosenne dla młodej osoby. Patrz ryc. 6. Krój i opis na arkuszu N. XIV, Fig. 54—54-a.



N. 5. Okrycie wiosenne dla młodej osoby. Patrz przód na ryc. 5.



N. 11—12. Suknie princesse. Patrz ryc. 13—14. Krój i opis na arkuszu N. I, Fig. 1—3-a.



N. 7. Mantyla z wciętemi plecami złożonemi z kilku części. Patrz ryc. 9. Krój i opis na arkuszu N. XIII, Fig. 50—53.



N. 8. Mantyla z wcinanemi plecami. Przód i krój patrz ryc. 7.



N. 9. Guzik zdobny sutaszem i perełkami.



N. 10. Guzik zdobny robotą szydełkową.



N. 13. Rękaw do ryc. 11—12.



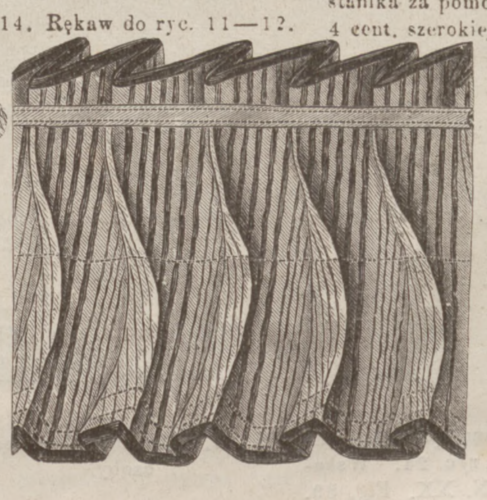
N. 14. Rękaw do ryc. 11—12.



N. 15. Okrycie wiosenne. Patrz ryc. 26.



N. 16. Pasmanterya naśladująca riuszą z piór.



N. 17. Garnirunek do sukien.

Opis do N. 19.

N. 1—2. Ząbki frywolitowe i szydełkowe.

N. 3—4. Stanik z baskiną i kamizelką. Krój na arkuszu N, VI, Fig. 22—26.

Suknia z materyału wełnianego jasno i ciemno-bronzowego ma spódnicę suto ubieraną (patrz ryc. 18, 24 i 26) i stanik z baskiną i kamizelką z przodu, jaki widzimy na ryc. 3 i 4. Części kamizelkowe krają się oddzielnie bez podszewki i łączą z przodami na ramionach, przy szwie bocznym i przy pasze, podług odpowiednich liter, w stanie zaś przyciśnięte są paskiem fałdowanym 5 cent. szerokim, idącym tylko od boczków. W staniku który opisujemy przody wraz z baskiną i pierwsze części pleców są z materyału ciemnego, reszta zaś z jasnego. Zasługuje na uwagę zupełnie nowy sposób zapinania stanika za pomocą oddzielnej listewki, 4 cent. szerokiej z dwoma rzędami guzików, do których odpowiednie dziurki trzeba obrobić wzdłuż brzegów obydwóch części przodów, które po zapięciu nie zachodzą się na siebie jak zwykle, lecz tylko ściśle dochodzą, baskina z tyłu u dołu zapięta jest na takie guziczki na 12 cent. wzdłuż. Krótkie części kamizelkowe krają się podług Fig. 26 pro-



N. 18. Suknia z fałdowaną spódnicą i stanikiem z baskiną. Patrz ryc. 24. Wskazanie kroju na arkuszu N. XX, Fig. 89.

N. 19. Ubranie dla młodej osoby.

N. 20 Ubranie spacerowe z paletotem. Patrz ryc. 27. Krój paletota na arkuszu N. II, Fig. 4—9.

N. 21. Sukienka princesse dla dziewczynki lat 6—8. Krój na arkuszu N. VIII, Fig. 32—35.

N. 22. Płaszczyk do ubrania spacerowego lub podróży. Krój na ark. N. V, Fig. 19—21-a.

N. 23. Suknia z vêtement. Patrz ryc. 2 w N. 18. Krój na arkuszu N. XI, Fig. 44—46.

N. 24. Suknia z fałdowaną spódnicą i stanikiem. Patrz ryc. 18.

N. 25. Ubranie do żałoby.

N. 26. Ubranie spacerowe. Okrycie patrz ryc 15. Krój na arkuszu N. XII, Fig. 47—49-a.

N. 27. Ubranie spacerowe z paletotem. Patrz ryc. 20.

N. 28. Ubranie dla młodej panienki. Krój princesse jak do ryc. 11 i 12.

N. 29. Ubranie spacerowe.

sto z przedniego brzegu, przy którym założone są w pięć do sześciu wąziutkich fałdek, na które przy krajaniu trzeba naddać materyału. Rękawy można dopasować podług Fig. 3.

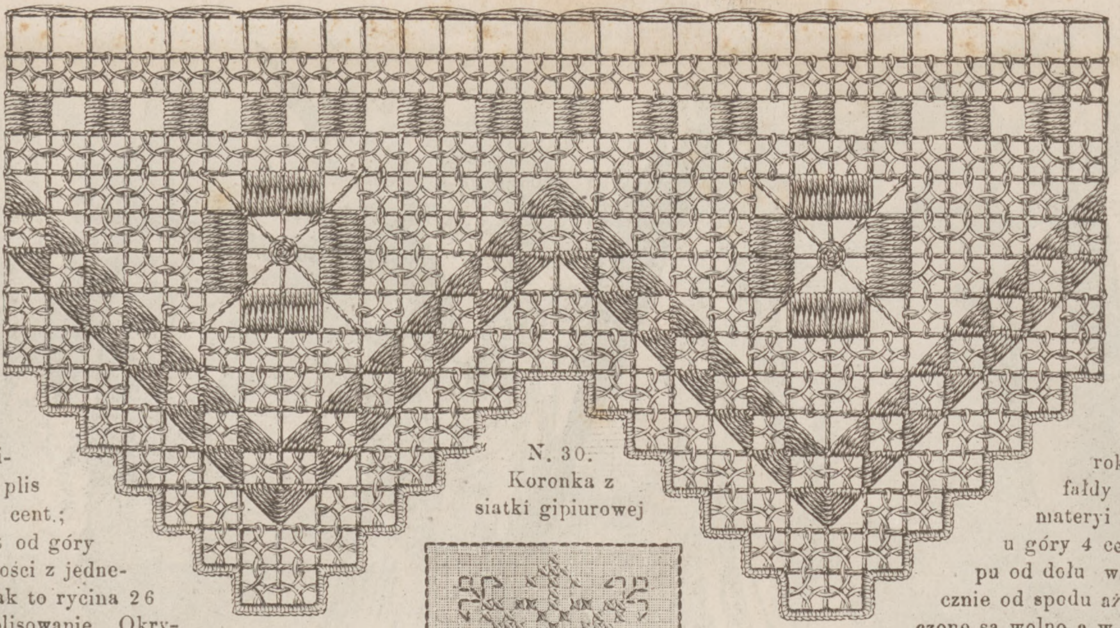
N. 5—14. Opisy na arkuszu z krojami.

N. 15 i 26. Okrycie wiosenne. Krój na arkuszu N. XII, Fig. 47—49-a.

Rycina 26 przedstawia bardzo elegancką suknię wizytową z aksamitu i atłasu tegoż koloru. szerokość plis zdobiących przód sukni wynosi 14 cent.; bryt przedni między plisami jest od góry nadmarszczony, w połowie zaś długości z jednego boku ma naszyte plisowanie, jak to rycina 26 wskazuje. Dół sukni zdobi wązkie plisowanie. Okrycie z indyjskiego kaszmiru na jedwabnej podszewce, ozdobione jest 21 cent. szeroką frendzlą z karbowanej jedwabnej plecionki i perełek, po nad którą naszyta pasmanterya sznelowa. Na ryc. 15 widzimy toż samo okrycie zakończone u dołu i przybrane wzdłuż pleców pasmanteryą sznelową, koronką układaną w kontrafałdki i frendzlą 7 cent. szeroką. Zestawienie formy wskazujemy na zmniejszonym formacie kroju Fig. 47-a—49-a; część stanowiąca rękaw (Fig. 49) odznaczona jest linią kropkowaną; po zszyciu przodów z plecami od F—G rękaw przyszywa się od G—H i od dwukropka do gwiazdki, pozostałe brzegi podszyte są listewką.

N. 16. Pasmanterya naśladująca oszycie z piór, odpowiednia do okryć letnich.

N. 17. Plisowanie do sukni ryc. 11.



N. 30. Koronka z siatki gipiurowej



N. 31. Kwadrat wyszyty ściegiem krzyżykowym, na serwetki i t. p.

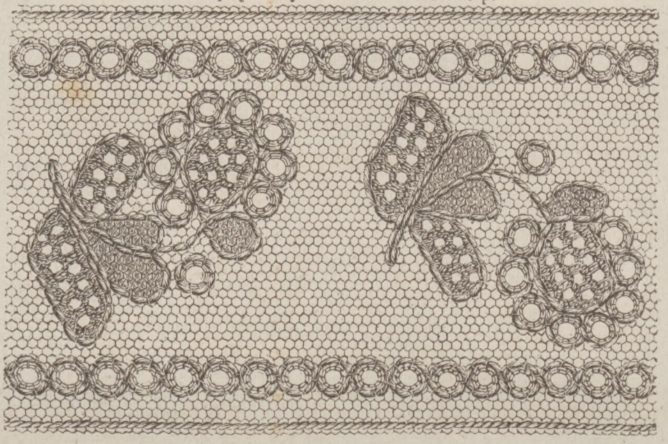
N. 18 i 24. Suknia z fałdowaną spódnicą i stanikiem. Wskazanie kroju spódnicy na arkuszu N. XX, Fig. 89; krój stanika podług ryc. 3 i 4.

Odrobiona jest z materyi faille bronzowego koloru i z takiegoż materyału wełnianego przerabianego w białe prążki. Fig. 89 podaje krój sukni z wypisaniem miar długości i szerokości, *a* oznacza bryt przedni ułożony w kontrafałdy z trzech prostych brytów po 65—71 cent. szerokich. Na modelu środkowe trzy fałdy były z bryta wełnianego a boczne z materyi faille; każda fałda liczy u dołu 9, u góry 4 cent. szerokości. Na 34 cent. odstępu od dołu wszystkie fałdy przeszyte są poprzecznie od spodu ażeby się nie rozsuwały, u dołu puszczone są wolno a w górze ściśle zsunięte na siebie, tak iż szerokość potrójnej kontrafałdy po 6 cent. wynosi. Boczne kliny *b* zupełnie gładkie, są z wełnianego materyału; trzy proste tylne bryty z materyi faille, marszczą się ściśle u góry i wszywają do paska, o 46 cent. poniżej podszyte są listewką do ściągania. Szarfy przewiązane z tyłu liczą po 26 cent. szerokości a 136 długości i zszyte są z faille i wełnianego materyału, u dołu zakończa je frendzla 10 cent. szeroka. Baskina z tyłu stanika wycięta jest w trzy zęby.

Dokończenie nastąpi.



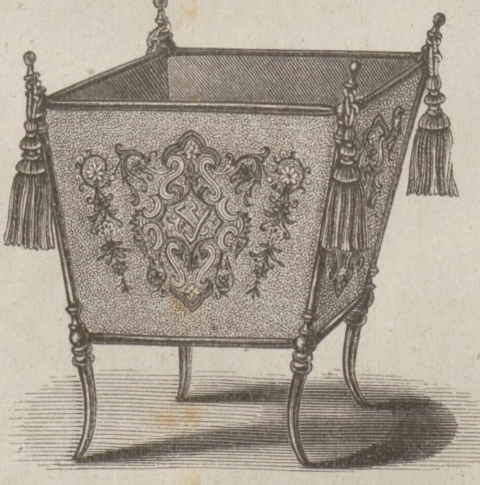
N. 33. Uczesanie dla młodej panienki.



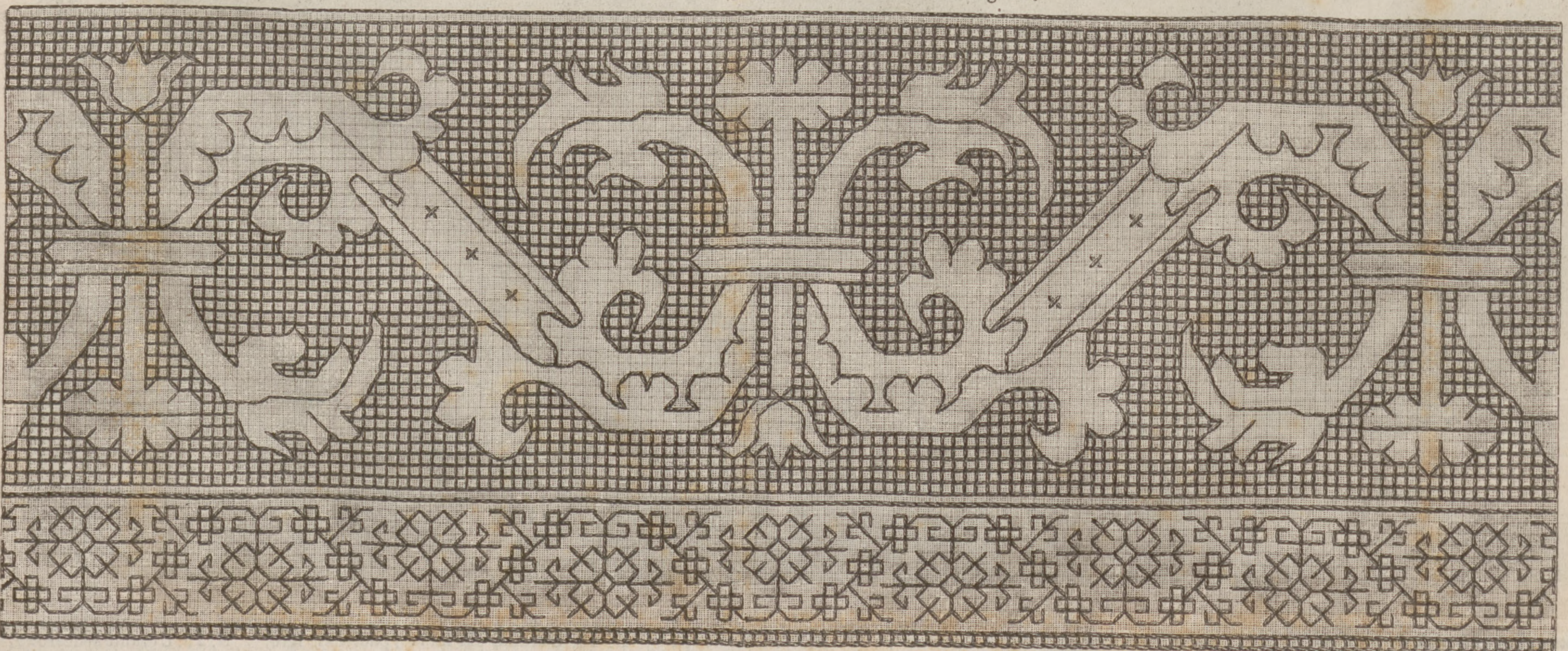
N. 32. Wszywka wywodzona na tiulu.



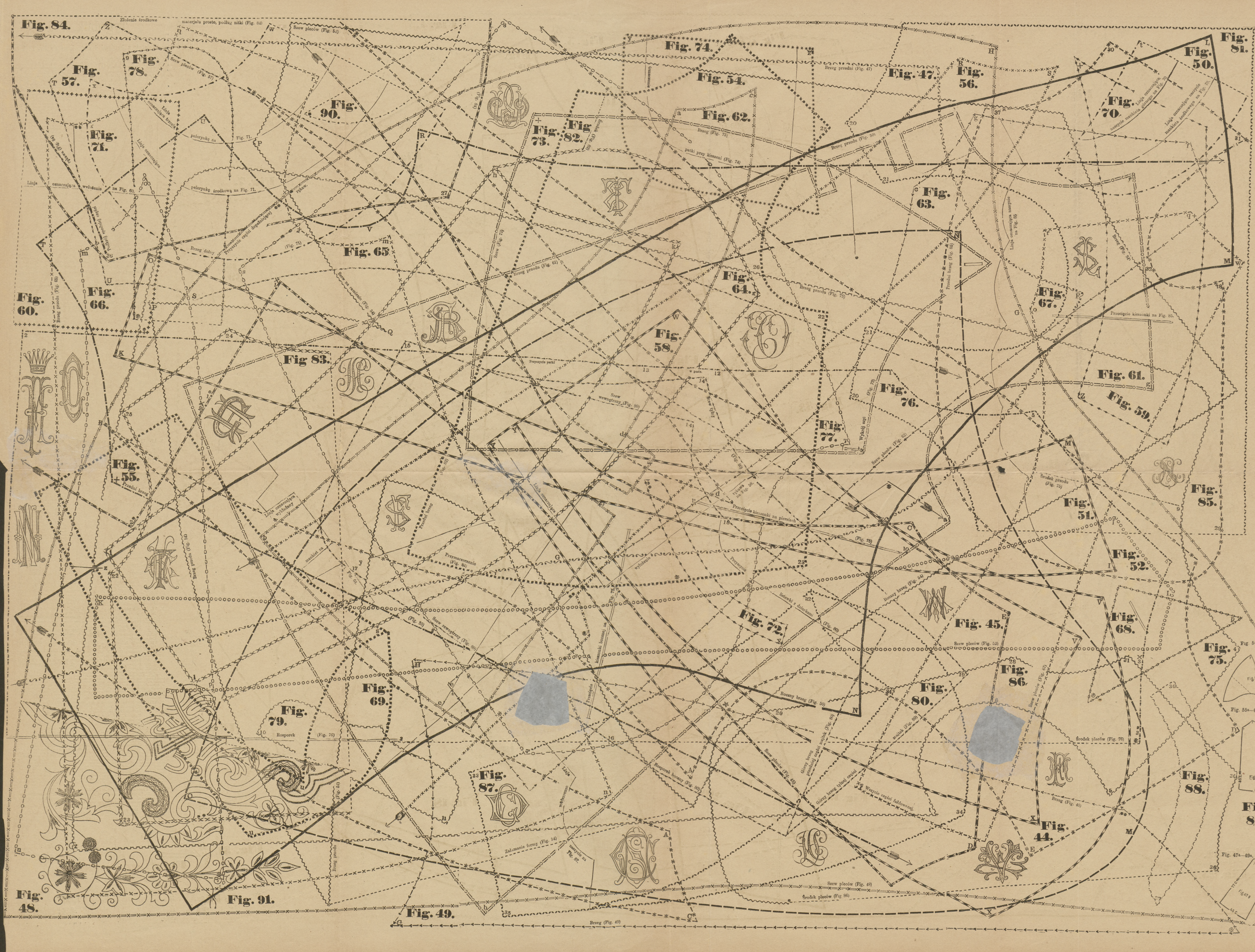
N. 34. Uczesanie dla młodej panienki.



N. 35. Koszyczek do papierów. Deseń na arkuszu Fig. 91.



N. 36. Szlak wyszyty ściegiem jednakowym na dwie strony, do serwet i t. p. Wielkość naturalna.

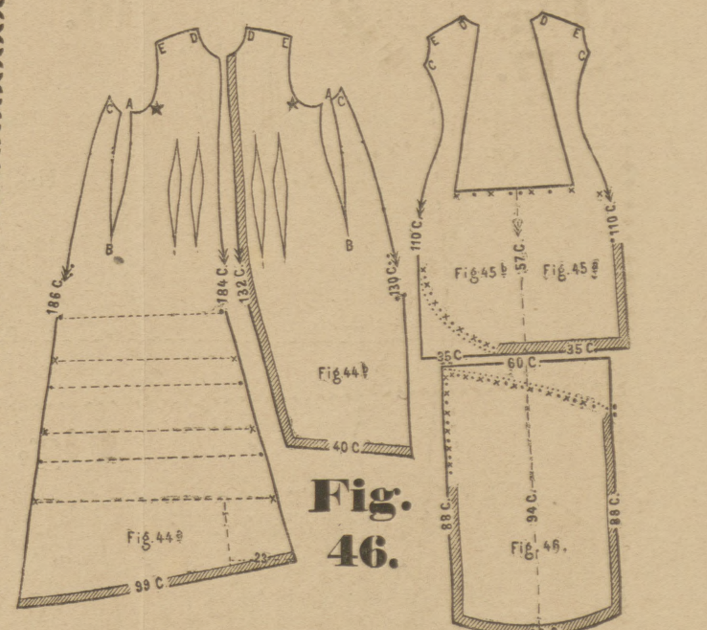


Tygodnik Mód

w Warszawie 1878 r.

Dodatek z krojami i deseniami do Nr. 18 i 19.

N. XI. Vêtement do ryc. 2 w Nrze 18 i do ryc. 23 w Nrze 19.
Miara połowy górnej objętości stanika 52, w pasie 34 cent.
Fig. 44. Przód i boczek (A, B, C, D, E, ✱) —✱—✱—✱—✱
Fig. 45. Połowa pleców (C, D, E, ✕ 1 i • 1 — ✕ 2 i • 2)
Fig. 46. Zmniejszony rysunez części dopełniającej plecy.
44a, 44b—45a, 45b i 46. Zmniejszony rysunek wszystkich części vêtement. Fig. 44a, przyfałdowana część przodu. Fig. 44b, przymarszczona część przodu. Fig. 45a i 45b i Fig. 46, części pleców.



N. XII. Płaszczyk wiosenny. Ryc. 15 i 26 w Nrze 19.
Fig. 47. Przodek (F, G)
Fig. 48. Plecy z częścią rękawa (F, G, H, ⁑, ✲) =×=×=×=×
Fig. 49. Dopełnienie rękawa (G, H, ⁑, ✲)
Fig. 47a—49a. Zmniejszony rysunek zestawionych części formy, Fig. 47—49.

N. XIII. Mantyla z plecami wcinanemi, złożonemi z kilku części. Ryc. 7—8 w Nrze 19.
Fig. 50. Przód (L, M, N)
Fig. 51. Pierwsza część pleców (I, K, M, O)
Fig. 52. Druga część pleców (I, K, L) OOOOOOOOOOOOOOO
Fig. 53. Rękaw (M, N, O) — — — — — —
Ryc. 7—8 przedstawia z przodu i z tyłu mantylę z czarnego kaszmiru, zapiętą przy podłużnym wykroju z przodu na haftki; ażeby plecy dobrze wpadały do stanu, przyszyty jest od spodu pasek. Ryc. 8 przedstawia mantylę garnirowaną koronką 3 i 4 cent. szeroką, układaną w kontrafałdy, oraz naszytą kilku, jeden przy drugim idącemi, rzędami sutaszu ozdobionego dżetem. Brzeg mantyli oszyty frendzlą jedwabną 6 cent. szeroką, którą na końcach z przodu daje się dwa razy. Przy ryc. 7 koronka jest plisowana.

N. XIV. Okrycie wiosenne dla niedorosłej panienki. Ryc. 5—6 w Nrze 19.
Fig. 54. Połowa okrycia (P, Q) jedno załamanie formy
Fig. 54a. Zmniejszony rysunek połowy gładko rozłożonego okrycia.
Ryc. 5 przedstawia okrycie z materjału w dzikim kolorze, oszyte wełnianą, fabryczną imitacją piór tego samego koloru, której próbkę zamieszczamy na ryc. 16. U dołu dana szeroka frendzla; podłużny wykrój pod szyją ogarnirowany riuszą z materji jedwabnej. — Na ryc. 6 widzimy okrycie czarne kaszmirowe, ozdobione riuszą z siepanej materji i koronką ułożoną w kontrafałdy.

N. XV. Paltot długi z wcinanemi plecami, dla panienki lat 11—13. Ryc. 18—19 w Nrze 18.
Fig. 55. Przód (R, T, U, V, •, +)
Fig. 56. Boczek (R, S, ✲, ⁑) ×•×•×•×•×•×•×•×•×•×•×•×•×•×•
Fig. 57. Plecy (S, T, U, Z, ⁑, ✲)
Fig. 58. Rękaw (V, W, X, Y)
Fig. 59. Połowa kołnierza (Z, +)
Fig. 60. Połowa kieszeni (•) ++++++++++++++++++++++++
Fig. 55a—60a. Zmniejszony rysunek wszystkich części formy, Fig. 55—60.

N. XVI. Paltot z wcinanemi plecami dla dziewczynki lat 8—10. Ryc. 4—5 w Nrze 18.
Fig. 61. Przód (a, b, f, g, h) =O=O=O=O=O=O=O=O
Fig. 62. Boczek (a, b, c, d, e) =×=×=×=×=×=×=×=×
Fig. 63. Plecy (c, d, e, f, g)
Fig. 64. Rękaw (h, i, k, l) XXXXXXXXXXXXX

N. XVII. Paltocik z potrójną pelerynkę albo z kapturkiem, dla dzieci lat 2—4. Ryc. 20—21.
Opis na końcu rejestru.
Fig. 65. Przód (m, n, q, r, s, x, y, ⁑) —×—×—×—×—×—×
Fig. 66. Boczek (m, n, [illegible]
Fig. 67. Plecy (o, p, q, r, w) —×—×—×—×—×—×—×—×
Fig. 68. Patka boczna (p, ✲)
Fig. 69. Rękaw (s, t, u, v)
Fig. 70. Połowa potrójnego mankieta (t, v)
Fig. 71. Połowa potrójnej peleryny (w, x)
Fig. 72. Pasek do wykroju szyi (w, ⁑)
Fig. 73. Połowa kapturka (•, +) =O=O=O=O=O=O=O
Fig. 74. Kieszeń (y, z) ✱✱✱✱✱✱✱✱✱✱✱✱✱✱✱✱✱✱✱✱✱✱✱✱✱✱

N. XVIII. Paltot dla chłopczyka lat 8—10. Ryc. 7 w Nrze 18.
Opis na końcu rejestru.
Fig. 75. Przód (1, 2, 4, 5, 6, 9, 10, 11)
Fig. 76. Połowa pleców (1, 2, 3, 4, 5, 12, 13, ✲, ✕ 3 i • 3)
Fig. 77. Rękaw (6, 7, 8) —O—O—O—O—O—O—O—O—O
Fig. 78. Połowa kołnierza (✲, 9)
Fig. 79. Patka do górnej kieszonki (10, 11)

N. XIX. Ubranie dla chłopczyka lat 3-5. (Majtki ze stanikiem, bluza i żakieta.) Ryc. 3, 8—9 w Nrze 18.
Fig. 80. Połowa majtek (14, 15, 16, 17, 18, 19)
Fig. 81. Połowa stanika (20, 21)
Fig. 82. Przód do bluzy (22, 23, 24, 25, 26, ✲)
Fig. 83. Połowa pleców (22, 23, 24, 25, ⁑) XXXXXXX
Fig. 84. Rękaw (26, 27)
Fig. 85. Przód do żakiety (28, 29, 30, 31, 32, 37) —✱—✱—✱
Fig. 86. Połowa pleców (28, 29, 30, 31, 36, •)
Fig. 87. Rękaw (32, 33, 34, 35)
Fig. 88. Połowa paska do wykroju szyi (36, 37)

N. XX. Fałdowana spódnica do ryc. 18 i 24 w Nrze 19.
Fig. 89. Zmniejszony rysunek i miary połowy spódnicy;
a. połowa przedniego bryta, b. bryt boczny, c. połowa pierwszej, d. połowa drugiej części tylnego bryta.

N. XXI. Poduszeczka do szpilek w kształcie jaja. Haft krzyżykowy. Ryc. 15—17 w Nrze 18.
Opis na końcu rejestru.
Fig. 90. Połowa jednej części (•) •—•—•—•—•—•—•—•

Deseń do ryc. 35 w Nrze 19.
Fig 91. Haft łańcuszkowy do kosza na papiery.

Opis do ryc. 20—21 w Nrze 18.

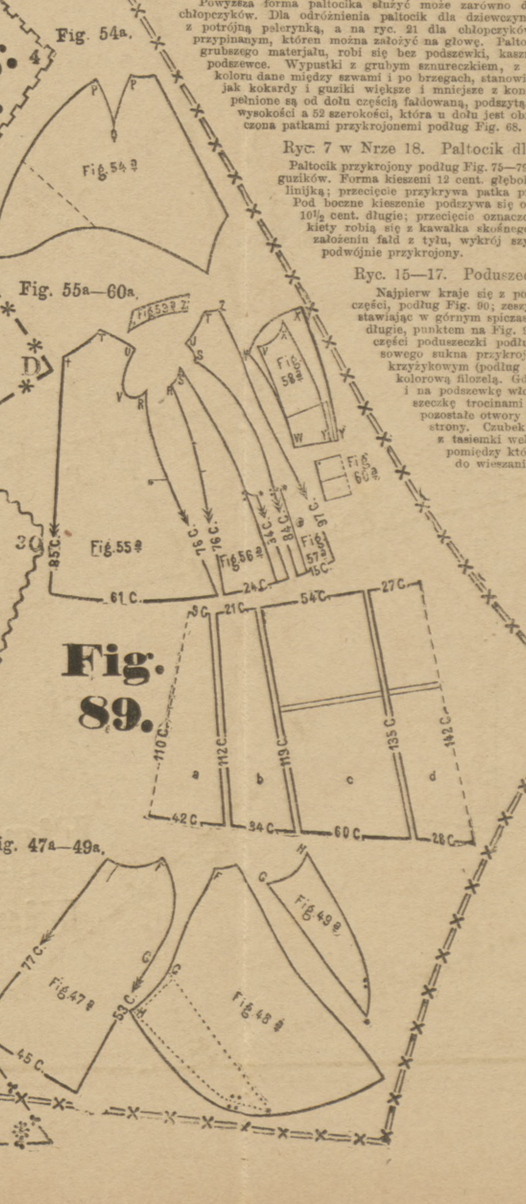
Powyższa forma paltocika służyć może zarówno dla dziewczynek jak i dla chłopczyków. Dla odróżnienia paltocik dla dziewczynek podajemy na ryc. 20 z potrójną pelerynką, a na ryc. 21 dla chłopczyków, paltocik z kapturkiem przypinanym, któren można założyć na głowę. Paltocik z sukienka lub innego grubszego materjału, robi się bez podszewki, kaszmirowy lub alpagowy na podszewce. Wypustki z grubym sznureczkiem, z materji tego co płaszczyk koloru dane między szwami i po brzegach, stanowią przyozdobienie, zarówno jak kokardy i guziki większe i mniejsze z konchy perłowej. — Plecy dopełnione są od dołu częścią fałdowaną, podszytą od spodu, mającą 13 cent. wysokości a 52 szerokości, która u dołu jest obrabiona, a z boków zakończona patkami przykrojonemi podług Fig. 68.

Ryc. 7 w Nrze 18. Paltocik dla chłopca lat 8—10.

Paltocik przykrojony podług Fig. 75—79, zapina się na dwa rzędy guzików. Forma kieszeni 12 cent. głębokiej, oznaczona jest cienką linijką; przecięcie przykrywa patka przykrojona podług Fig. 79. Pod boczne kieszenie podszywa się od spodu kawałki materjału $10\frac{1}{2}$ cent. długie; przecięcie oznaczone jest na Fig. 76. Mankiety robią się z kawałka skośnego 10 cent. szerokiego. Po założeniu fałd z tyłu, wykrój szyi wszywa się w kołnierz podwójnie przykrojony.

Ryc. 15—17. Poduszeczka w kształcie jaja.

Najpierw kraje się z podszewki cztery jednakowe części, podług Fig. 90; zeszywa takowe ze sobą, pozostawiając w górnym spiczastym końcu, otwory 2 cent. długie, punktem na Fig. 90 oznaczone. Zwierzchnie części poduszeczki podług tej samej formy z ponsowego sukna przykrojone, wyszywa się haftem krzyżykowym (podług ryc. 16—17) cienką różnokolorową filozelą. Gdy wierzch zostanie zeszyty i na podszewkę włożony, wyściela się poduszeczkę trocinami lub otrębami i zaszywa pozostałe otwory krytym ściegiem z prawej strony. Czubek poduszeczki zdobi riusza z tasiemki wełnianej $1\frac{1}{2}$ cent. szerokiej, pomiędzy którą przyszywa się pentelkę do wieszania.





Tygodnik Mód

w Warszawie 1878 r.

Dodatek z krojami i deseniami do Nr. 18 i 19.

N. I. Suknia princesse. Ryc. 11—14 i 17 w Nrze 19.
Miara połowy górnej objętości stanika: 50, w pasie 30 cent.
Fig. 1. Przód i boczek (A, B, C, F, G, H)
Fig. 2. Pierwsza i druga część pleców (C, D, E, F, G, X 1 i • 1 — X 3 i • 3)
Fig. 3. Rękaw (H, I, K, L)
Fig. 1a—3a. Zmniejszony rysunek zestawionych części formy, Fig. 1—3.

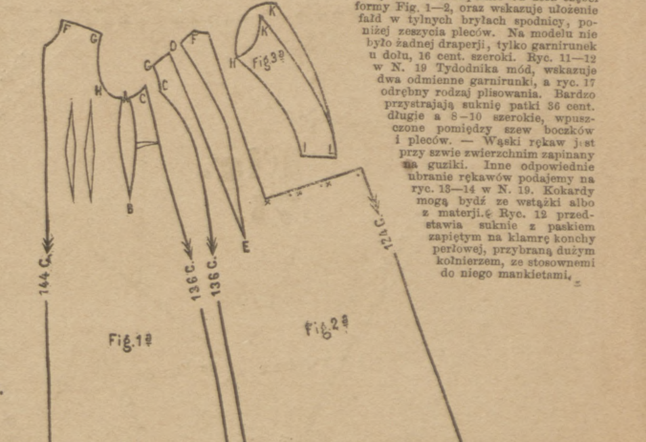
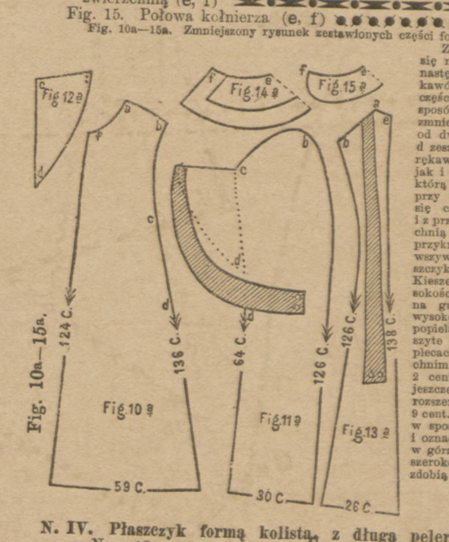


Fig. 1a—3a, podaje miary, podług których trzeba dopełnić od dołu części formy Fig. 1—2, oraz wskazuje ułożenie fałd w tylnych bryłach spodnicy, poniżej zeszycia pleców. Na modelu nie było żadnej draperji, tylko garnirunek u dołu, 16 cent. szeroki. Ryc. 11—12 w N. 19 Tygodnika mód, wskazuje dwa odmienne garnirunki, a ryc. 17 odrębny rodzaj plisowania. Bardzo przystrajają suknię patki 36 cent. długie a 8—10 szerokie, wpuszczone pomiędzy szew boczków i pleców. — Wąski rękaw jest przy szwie zwierzchnim zapinany na guziki. Inne odpowiednie ubranie rękawów podajemy na ryc. 13—14 w N. 19. Kokardy mogą bydź ze wstążki albo z materji. Ryc. 12 przedstawia suknie z paskiem zapiętym na klamrę konchy perłowej, przybraną dużym kołnierzem, ze stosownemi do niego mankietami.

Fig. 1a—3a.

N. II. Paltot zapinany na dwa rzędy guzików, z pleckami złożonemi z kilku części. Ryc. 20 i 27 w Nrze 19.
Fig. 4. Przodek (M, N, S, T, U, Z) 1-sze załamanie formy
Fig. 5. Boczek (M, N, O, P)
Fig. 6. Pierwsza części pleców (O, P, Q, R, T)
Fig. 7. Druga część pleców (Q, R, S, Y)
Fig. 8. Rękaw (U, V, W, Y)
Fig. 9. Połowa kołnierza (Y, Z)

N. III. Płaszczyk podróżny z pelerynowemi rękawami. Ryc. 40—41 w Nrze 18.
Fig. 10. Przodek (a, b, c, d, f)
Fig. 11. Część boczna z rękawem (b, c, d, :)
Fig. 12. Część dopełniająca rękaw (c, d, :)
Fig. 13. Plecy (a, b, e)
Fig. 14. Połowa spodniej pelerynki z odznaczoą linijką pelerynką zwierzchnią (e, f)
Fig. 15. Połowa kołnierza (e, f)
Fig. 10a—15a. Zmniejszony rysunek zestawionych części formy, Fig. 10—15.



Zeszywając płaszczyk, łączy się najpierw ramiona od a—b następnie przyszywa się do rękawów oddzielnie przykrojone części podług Fig. 12, w taki sposób jak są zestawione na zmniejszonym rysunku Fig. 11a, od dwukropka do c. Od c do d zeszywa się część dodana do rękawów z przodem, również jak i część wypukła od c do b, którą trzeba trochę naddawać przy szyciu; poczem zeszywa się części boczne z plecami i z przodami. Pomiędzy zwierzchnią i spodnią część kołnierza, przykrojonego podług Fig. 15, wszywa się górny wykrój płaszczyka i dwoistą pelerynkę. Kieszenie mają 20 cent. wysokości a 16 szerokości, klapka na guzik zapinana 10 cent. wysokości. Na modelu z ciemno popielatego Waterproof'u, naszyte były przy rękawach i na plecach plisy, które przy zwierzchnim brzegu rękawa miały 2 cent. szerokości; dalej idą jeszcze 18 cent. wzdłuż boków, rozszerzając się stopniowo, do 9 cent. Plisy na plecach naszyte w sposób wskazany na ryc. 40 i oznaczony na Fig. 13a, mają w górze 3 cent. u dołu 8 cent. szerokości. Guziki i pentelki zdobią ich końce.

N. IV. Płaszczyk formą kolistą, z długą peleryną. Ryc. 38—39 w Nrze 18.
Fig. 16. Połowa płaszczyka z oznaczeniem peleryny (g, h, i, k, :)
Fig. 17. Kołnierz (i, k)
Fig. 18. Patka do otworów na ręce (:)

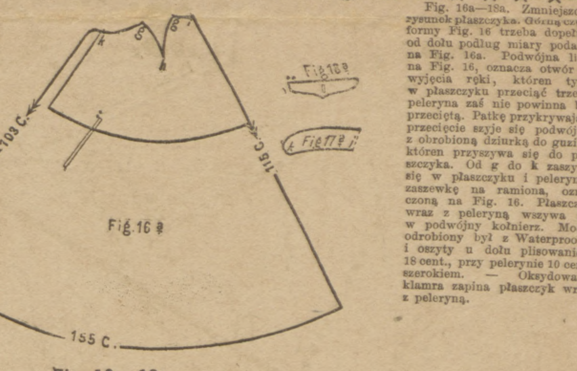


Fig. 16a—18a. Zmniejszony rysunek płaszczyka. Górną część formy Fig. 16 trzeba dopełnić od dołu podług miary podanej na Fig. 16a. Podwójna linja na Fig. 16, oznacza otwór do wyjęcia ręki, któren tylko w płaszczyku przeciąć trzeba, peleryna zaś nie powinna być przeciętą. Patkę przykrywającą przecięcie szyje się podwójną, z obrobioną dziurką do guzika, któren przyszywa się do płaszczyka. Od g do k zaszywa się w płaszczyku i pelerynie, zaszewkę na ramiona, oznaczoną na Fig. 16. Płaszczyk wraz z peleryną wszywa się w podwójny kołnierz. Model odrobiony był z Waterproof'u i oszyty u dołu plisowaniem 18 cent., przy pelerynie 10 cent. szerokiem. — Oksydowana klamra zapina płaszczyk wraz z peleryną.

Fig. 16a—18a.

N. V. Płaszczyk paltotowy z podwójną pelerynką i kołnierzem. Ryc. 22 w Nrze 18.
Fig. 19. Zmniejszony rysunek połowy płaszczyka, któren kraje się podług formy N. II, Fig. 4—9.
Fig. 20. Połowa spodniej pelerynki z oznaczeniem pelerynki zwierzchniej (:, ✻)
Fig. 21. Połowa wykładanego kołnierza (:, ✻)
Fig. 20a—21a. Zmniejszony rysunek wszystkich, zestawionych części formy.

N. VI. Stanik pod szyję z baskiną i kamizelką. Ryc. 3—4 w Nrze 19.
Miara połowy górnej objętości 48 cent., w pasie 31 cent.
Fig. 22. Przodek (l, m, r, s, +, ✱)
Fig. 23. Boczek (l, m, n, o)
Fig. 24. Pierwsza część pleców (n, o, p, q, s)
Fig. 25. Druga część pleców (p, q, r)
Fig. 26. Kamizelka (l, r, s, +, ✱)
Rękaw podług Fig. 3.

N. VII. Stanik fałdowany z baskiną i spódniczką dla dziewczynki lat 8—10. Ryc. 13—14 w Nrze 18.
Fig. 27. Przodek (t, u, v, w, ✻, +)
Fig. 28. Połowa pleców (t, u, v, w, :)
Fig. 29. Rękaw (x, y, z, +)
Fig. 30. Połowa marynarskiego kołnierza (:, ✻)
Fig. 31. Zmniejszony rysunek brytów połowy spódniczki:
a. połowa bryta przedniego, klin boczny, c. bryt tylny.

Ryc. 13—14 przedstawia ubranie, złożone ze spódniczki i stanika fałdowanego z baskiną, przepasanego paskiem. Przód i plecy stanika najpierw układa się w fałdy, oznaczone na formie cienkiemi linijkami, potem dopiero przykrawa podług Fig. 27—28. Do wcięcia w stanie daje się pod stanik mocną podszewkę, do której dobrze zaprasowane fałdy, są od spodu przyfastrzygowane; na fałdy z przodu potrzeba 9½, przy pleckach 14 cent materjału. Luźno puszczone fałdy baskiny podszywa się oddzielnie podszewką. Kołnierz przykrawa się podług Fig. 30, mankietki i pasek odrobić podług ryc. 13 i 14 w N. 18. Dwa odmienne garnirunki podane na powyższych rycinach, mają 12 cent. szerokości.

N. VIII. Sukienka princesse z potrójną pelerynką, dla dziewczynki lat 6—8. Ryc. 6 w Nrze 18 i ryc. 21 w Nrze 19.
Fig. 32. Przodek (1, 2, 3, 4, 6, +)
Fig. 33. Plecy (1, 2, 3, 4, 5)
Rękaw podług Fig. 29 z oznaczoną linijką częścią dolną •)
Fig. 34. Mankiet (✻, •)
Fig. 35. Połowa spodniej pelerynki z linjami oznaczającemi pelerynkę drugą i trzecią (5, 6)

N. IX. Sukienka, albo bluzka zwierzchnia, dla dzieci lat 1—2. Ryc. 11—12 w Nrze 18.
Fig. 36. Połowa przodu i pleców (7, 8, 9, 10, 11)
Fig. 37. Połowa rękawa (11, 12)

Plecy bluzki układają się w 3 kontrafałdy 4 cent. szerokie, na które w krajaniu trzeba dodać materjału; do przodów zapinanych na guziki, dodaje się tylko na obrąb 2 cent. szeroki. Kieszonkę robi się z kawałka prostego 11 cent. długiego, 9 cent. szerokiego, od dołu spiczasto sciętego. — Sukienka ta stanowić także może bluzkę ochronną, którą kładzie się na wierzch, dla ochrony droższej sukienki. Ryc. 12 w N. 18 przedstawia właśnie taką bluzkę z płótna szarego, wyszytą między fałdami i wzdłuż obrąbka krzyżykami, bawełną ponsową i niebieską. Kieszonka i rękawki są tak samo ozdobione; na wąskim pasku obejmującym wykrój szyi dane wyszycie ściegiem cierniowym. Na ryc. 11 w N. 18 podana jest z przodu sukienka wełniana jasnoniebieska, która w miejsce wyszycia ozdobiona jest pliskami z jedwabnej materji, a brzegi ma oszyte wąskiem plisowaniem z wełnianego materjału.

N. X. Czaprak haftowany. Ryc. 26 w Nrze 18.
Fig. 38. Połowa czapraka
Fig. 39—40. Desenie do haftu łańcuszkowego albo do wyszycia sutaszem.
Fig. 39 na brzegi zaokrąglone, Fig. 40 na brzegi wcięte.
Fig. 41. Deseń na wstawkę z koronki irlandzkiej do ryc. 11 w Nrze 17.
Fig. 42a. Rękawiczka (✻, +) } Robota koronkowa do mitenki ryc. 38.
Fig. 42b. Wielki palec (:, ✻) }
Fig. 43a i 43b. Dwie korony. Haft krzyżykowy.

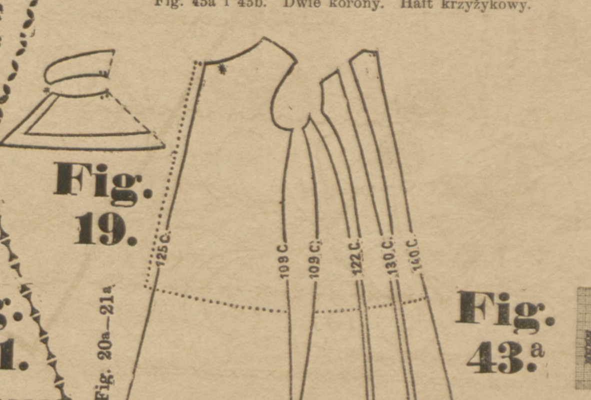


Fig. 19.

Fig. 20a—21a.